

adeste⁺

Pragnę, szukam,...

NR 08 | MAJ 2018

ISSN2544-7424



www.adeste.eu

Adres do korespondencji:
Łapiguz 73, 22-400 Zamość
tel. 515 244 234
redakcja@adeste.eu

Wydawca i Redaktor Naczelny:
Bartłomiej Jan Wojnarowski

Redaguje zespół w składzie:
Anna Małgorzata Gawlik (z-ca redaktora naczelnego ds. organizacji i zarządzania), Krzysztof Działlik (sekretarz redakcji)
Piotr Ulrich (sekretarz miesięcznika)
Michał Gójski, Dk. Mateusz Kopa, Kamil Mańka, Konrad Myszkowski, Michał Sadowski (szef działu kultura i społeczeństwo), Piotr Władysław Sudoł,
Współpracownicy:
Antonio Akmadża, Piotr Bogdanowicz, Wojciech Gałek, Nina Małgorzata Kogut, Szymon Kozieja, Marta Kozłowska, Piotr Krajski, Tomasz Kumiega, Mateusz Rezler, Bartłomiej Witeszczak i inni

Grafik główny i skład gazety: Tomasz Łukasik – tomasz.lukasik@adeste.eu
Skład gazety w rozszerzeniach .mobi i .epub: Maciej Andrzej Laskowski - maciej.laskowski@adeste.eu
Webmasterzy strony www.adeste.eu: Tomasz Leszczyński, Tomasz Łukasik - it@adeste.eu
Wsparcie serwerowe: Norbert Bryłka
Rysownik i art-designer: Marcin Kozłowski
Media consulting: Mateusz Nieścierowicz
Dział korekty:
Zuzanna Sokalska (koordynator korekty), Anna Gawlik, Anna Warzecha, Magdalena Węglarz, Anna Królak.
Dział rozwoju i promocji:
Anna Piontek - szef działu rozwoju i promocji - promocja@adeste.eu,
Norbert Bryłka, Kamil Tokarski, Tomasz Łukasik, Tomasz Leszczyński, Marcin Kozłowski
Piotr Władysław Sudoł
Ponadto beta-testerzy i post-korekta oraz konsultacja teologiczna

A także każdy, kto modliwą, pomocą, wsparciem technicznym, finansowym czy organizacyjnym przyczynił się do rozwoju tego dzieła.
+AMDG!+

Wydawca: Bartłomiej Wojnarowski, Łapiguz 73, 22-400 Zamość, Lubelskie



Ilustracja: Zofia Bryłka

Spis treści

FELIETON

Moc w słabości się doskonali
(wywiad) Piotr Ulrich 4

WIARA

Charyzmaty Ducha Św.
Krzysztof Działlik 10

Duch w Kościele – Kościół w świecie
Piotr Bogdanowicz 13

SPOŁECZEŃSTWO

“Ogień martwego Boga”
Tomasz Kumięga 16

Boskie prawo królów
Antonio Akmadża 24

W szponach zrównoważonego rozwoju
Konrad Myszkowski 31

KULTURA

Natchniony rycerz
Szymon Kozieja 38

Coś dla ciała i dla ducha, czyli o poście
Daniela słów kilka
Nina Kogut 42

Serialowa katecheza dla najmłodszych
Wojciech Gałek 47

Nadzieja ukryta między słowami, czyli
o Twenty One Pilots
Bartłomiej Wojnarowski 52

Co czyni nas ludźmi?
Piotr Krajski 57

Chrześcijaństwo - oświeceniem
Piotr Władysław Sudół 61



źródło: pixabay.com

*Obmyj, co nieświęte,
Oschłym wlej zachętę,
Ulecz serca ranę!
Nagnij, co jest harde,
Rozgrzej serca twarde,
Prowadź zabłąkane.*

4 zwrotka pieśni “Przybądź
Duchu Święty”

Drodzy Czytelnicy i Sympatycy miesięcznika “Adeste”!

Kościół jest młody. To wyrażenie, chociaż z pozoru wydaje się truizmem, ma w sobie ogromną głębię. Bo to nie tylko młodość fizyczna, która wyraża się w spontanicznej wierze młodzieży i ewangelizacyjnym zaangażowaniu. To przede wszystkim młodość wiary. Ewangelia nigdy nie przestała być aktualna. Zmieniały się systemy polityczne i gospodarcze, upadały państwa, a Słowo Boże ciągle zachowuje swoją świeżość i dynamizm. To dzięki Duchowi Świętemu, który ożywia to, co jest umarłe, i dyskretnie towarzyszy Kościołowi.

I to właśnie o Duchu Świętym i wewnętrznym dynamizmie Kościoła chcemy Wam opowiedzieć w 8 numerze miesięcznika “Adeste”. Oprócz ekskluzywnego wywiadu z ks. prał. Janem Sikorskim znajdziecie w nim także wiele artykułów dotyczących młodych, głoszenia Ewangelii i roli Ducha Świętego w Kościele. Jak zawsze czekają na Was także artykuły z działu kultura i społeczeństwo, w których w nowoczesny sposób chcemy przekazać, że kultura chrześcijańska inspirowuje i potrafi zaskoczyć swoją siłą, szczególnie w społeczeństwach postmodernistycznych. Tam, gdzie wydaje się, że chrześcijaństwo jest słabe i obumiera, Bóg zaskakuje nas swoim działaniem.

Pozostając w Paschalnej Radości oczekujemy na Uroczystość Zesłania Ducha Świętego. On, Duch Prawdy, uczył i ożywiał nie tylko pierwotny Kościół, ale daje świeżość i młodość także temu współczesnemu.



Z modlitwą +

Bartłomiej J. Wojnarowski
Redaktor Naczelny miesięcznika *Adeste*



źródło: youtube.com

Moc w słabości się doskonali



Z księdzem Janem Sikorskim rozmawiał Piotr Ulrich

Kościół Katolicki istnieje już od 2000 lat. Wielokrotnie w swojej historii spotykał się z trudnościami, podobnie jest i dzisiaj. Zdaje się, że obecnie głosy mówiące o kryzysie Kościoła są coraz silniejsze. Serdecznie zapraszamy do przeczytania wywiadu na ten temat z księdzem infułatem Janem Sikorskim – człowiekiem z niezwykłym doświadczeniem życia chrześcijańskiego, który zgodził się udzielić wypowiedzi naszej redakcji.

W obecnych czasach coraz częściej spotkać się możemy ze stwierdzeniem, że Kościół Boży trawiony jest przez kryzys. Mówią o nim hierarchowie, ale także świeccy zaangażowani w sprawy Kościoła. Jak odbiera Ksiądz Infułat takie

głosy? Czy rzeczywiście możemy mówić o kryzysie w Kościele? Jeśli tak, to na jakich płaszczyznach? Skąd może się on brać?

Można by w ogóle zapytać, kto nie jest w kryzysie! Kryzys,

z języka greckiego, to oznacza zmaganie się, walkę, pokonywanie trudności. Tak więc każdy organizm, który się rozwija, jest ciągle w nieustającym kryzysie. Odnosi się to również do organizmu Ciała Mistycznego – Kościoła. Przygotowując się

do święta Zmartwychwstania przeżywaliśmy Wielki Tydzień^[1]. Czyż Ofiara Chrystusa na krzyżu nie była wielkim kryzysem? Pan Jezus się modlił: „niech odejdzie ode mnie ten kielich”, ale też dodał „nie moja wola, lecz Twoja niech się stanie”. Taki był początek Kościoła, a potem przez całe dzieje ten kryzys – tworzenia się, wzrastania, wchodzenia w nową rzeczywistość – ciągle trwa. Oczywiście, pytanie pewnie dotyczy tego, co jest dzisiaj.

Można popatrzeć na to wielopłaszczyznowo. W świecie dostrzegamy w tej chwili walkę zwłaszcza z chrześcijaństwem – walkę, prześladowania jakich jeszcze nigdy nie było! Człowiek pyta – dlaczego coś takiego się dzieje? Tak czasem jest, że Pan Bóg daje diabłu trochę władzy nad światem, mówi „poszalej trochę” – jak jest to napisane w księdze Hioba – „masz, weź go sobie”. Wydaje się dzisiaj, że dotyczy to całego świata. Świat, przez przyspieszenie technologiczne, zmienia się. Film historii świata kręci się coraz szybciej. To co kiedyś trwało sto lat, dzisiaj zmienia się w kilka tygodni. Ogromna ilość informacji, łatwość dotarcia do każdego zakątka świata jest wielkim dobrem, ale stwarza też możliwość manipulacji i zamętu w ludzkich umysłach. Ten zamęt dotyczy



Ksiądz Jan Sikorski

źródło: wikipedia

całego świata. Obserwujemy go szczególnie w Europie, która stała się zasobna ponad miarę. Pan Jezus mówił, że wielbłądowi łatwiej przejść przez ucho igielne, niż bogatemu wejść do Królestwa Niebieskiego! Pieniądze potrafią człowieka zdemoralizować. Tak sobie nieraz myślę, że na każdej złotówce siedzi diabeł – im ktoś więcej tych złotych nazbiera, tym większego diabła ma do pokonania a nie zawsze wie jak to zrobić. Europa trochę zatechła w swoim dobrobycie. Kontrastuje przy tym z wieloma innymi krajami. To byłby drugi wymiar tego kryzysu w wymiarze europejskim.

Wreszcie, najstarszy kryzys, najstarsza trudność, dotyczy serca człowieka, bo tu od początku świata trwa walka dobra ze złem. Tam człowiek dokonuje

najważniejszych wyborów, wybiera Chrystusa lub Nim gardzi.

Od prawie 60 lat wiedzie Ksiądz Infułat bardzo aktywne życie w Kościele. Te lata na pewno dały Księdzu duże doświadczenie w obserwacji sytuacji na Łodzi Piotrowej. Czy pamięta Ksiądz, jak przez ten czas postrzegane były momenty załamania w Kościele? W jaki sposób były odbierane przez duchowieństwo, jak i świeckich?

Za moich czasów, kiedy „startowałem”, jako młody człowiek, do życia, potem już jako kleryk i ksiądz, diabeł działał bardzo jednoznacznie – stał się czerwonym diabłem, wcielił się w komunę. Próbowano ona siłowo przezwyciężyć struktury Kościoła. Jeszcze w seminarium,

[1] Rozmowa została przeprowadzona w Wielkim Tygodniu 2018

w czasach stalinowskich byłem przekonany, że będę musiał być księdzem działającym w ukryciu. Nawet zacząłem uczyć się introligatorstwa, żeby mieć jakiś zawód, za którym mógłbym się schować by w sposób tajny spełniać funkcję księdza. Komuniści wmawiali nam: „Koniec z wami! Nie pchajcie się do seminarium, bo i tak nie zdążycie go skończyć”. Potem, przyszło aresztowanie księdza Prymasa. Mimo trudności doczekaliśmy się jednak święceń kapłańskich.

Po przewrocie Gomułkowskim była radość, że coś się w Polsce zmieni, ale zmiany były jedynie pozorne. Początkowo religia wróciła do szkoły. Czułem się w pracy z młodzieżą jak ryba w wodzie. Wkrótce jednak zostałem wyrzucany z poszczególnych szkół. Ograniczano możliwość nauczania religii. Musieliśmy ją prowadzić w bardzo trudnych warunkach lokalowych, tworząc później tzw. punkty katechetyczne, które władze państwowe chciały na siłę kontrolować.

Ludzi świeckich, którzy chodzili do kościoła dyskryminowano. W pierwszej mojej parafii w Skierniewicach miałem sporo rodzin wojskowych. Pamiętam w związku z tym charakterystyczny przypadek. Przygotowywałem córkę oficera do Komunii Świętej, w zasadzie od zera, ponieważ nigdy nie cho-

dziła na religię, a bardzo chciała przyjąć Pana Jezusa. Były kłopoty z terminem Komunii Świętej, trzeba było czekać na moment, kiedy ojciec wyjedzie na poligon. Data była przesuwana z tygodnia na tydzień. Kiedy ojciec wrócił i dowiedział się, że córka chodzi do kościoła, powiedział „Ja cię rejentalnie wypiszę ze swojej rodziny!”. To była wielka trauma dla delikatnej, subtelnej dziewczyny. Z kolei na Mokotowie jednego chłopaka, którego koledzy przyprowadzili na religię, ojciec tak pobił, że syn potem trafił do szpitala. To był syn oficera z kontrwywiadu.

Mimo takich i podobnych trudności katechizacja się rozwijała, a ludzie umacniali się w wierze.

Z przykrością można zauważyć, że obecna sytuacja sprzyja narracji, jakoby nie było pewności, że Duch Świę-

ty wspiera Kościół, a także że prowadzi go ku świętości. Co raz częściej jest ona słyszalna z ust ludzi, których widzimy co niedzielę w katolickich świątyniach. Jak mógłby Ksiądz Infułat odnieść problemy współczesnego Kościoła do działania w nim Ducha Świętego? Jaki można znaleźć problem w zwątpieniu katolików w ożywiające działanie trzeciej Osoby Trójcy świętej?

Szczęśliwie teraz obchodzimy, w Kościele polskim, rok Ducha Świętego i podobnym rozważaniom poświęcony będzie rok następny. Zrozumienie znaczenia Ducha Świętego nie jest proste. Łatwiej postrzegamy pierwszą Osobę Trójcy Świętej, Boga Ojca, jako stwórcę świata i Chrystusa, który przez swoje życie na ziemi, śmierć i zmartwychwstanie odkupił nas. Natomiast Osoba Ducha



źródło: pixabay.com



źródło: pixabay.com

Świętego, Jego działanie jest mniej „namacalne”. Pan Jezus jednak bardzo wyraźnie mówił o swoim działaniu jako owocu Ducha Świętego, a przed wystąpieniem apostołów na świat, kazał im czekać na przyjście Poczciwca. I rzeczywiście dopiero po pięćdziesiątnicy apostołowie rozbiegli się po całym świecie, aby spełnić nakaz misyjny: „Idźcie na cały świat”. Kościół kierowany Duchem Świętym ciągle się rozwija. Pan Jezus powiedział, że bramy piekielne go nie przemogą. Nie znaczy to, że w każdym zakątku świata dzieje się jednakowo. Jeden z moich profesorów mówił, że wieczne istnienie Kościoła jest dogmatem wiary, ale nie jest pewne, że nie zaginie np. w Polsce. Potrzebne jest otwarcie na działanie Ducha Świętego i nad tym

wszyscy pracujemy. Dziś bardzo mocno podkreśla się element prawdziwego lub rzekomego zgorszenia jakie ludzie nie wyłączając kapłanów, przynoszą Kościołowi. Kościół jest Bożą instytucją, ale wykonanie jest ludzkie. Jądem pierwszego Kościoła byli apostołowie. Jeden z nich okazał się zdrajcą. W kondycję ludzką wpisany jest grzech i słabość. Nie umniejsza to jednak istoty Kościoła. Słyszysz się nieraz: „zgorszyłem się, bo jakiś ksiądz, czy biskup źle postąpił”. Trzeba nad tym ubolewać, ale co to ma wspólnego z twoją osobistą relacją z Panem Bogiem?

Święty Paweł napisał: „*Oportet haereses esse*” – trzeba aby były herezje! To zdanie wydaje się już herezją, ale powiedz też: „Moc w słabości się doskonali”. Nieraz bieżące trud-

ności, czy nawet odstępstwa, pobudzają nowe siły, podobnie jak w żywym organizmie – walka z chorobą potrafi wzmocnić cały organizm. Trzeba wiarą i ufnością ożywiać działanie Ducha Świętego w nas.

A czy my wzywamy Ducha Świętego? Mój kolega w seminarium świetnie zdawał egzaminy. Pytaliśmy go „Jak ty to robisz?” Odpowiedział: „Dużo modlę się do Ducha Świętego. A ponieważ ludzie rzadko to robią, więc Duch Święty ma dużo czasu dla mnie”. To niemal anegdota, ale myślę że pouczająca. Kardynał Ratzinger użył wyrażenia, że Kościół przypomina nieraz „łódź tonącą”. W dziejach było tak, że Kościół już prawie tonął np. w czasach herezji ariańskiej (IV w.). Mówiono nawet, że „świat obudził się ariański”

bo większość wiernych odeszła od prawowitej wiary. Wtedy św. Atanazy, wielki doktor Kościoła powiedział „Arianie? Ha! *Nubicola! Transibit!*”. „To chmurka, przejdzie!”. Minęło trochę czasu i po arianach nie ma śladu. Czasem takie burze stają się kryzysem, który wzmacnia Kościół.

Gdzie upatruje Ksiądz Infułat środek zaradczy? W którą stronę pójść, gdy, jak powiedział kardynał Ratzinger, Kościół przypomina „tonącą łódź”?

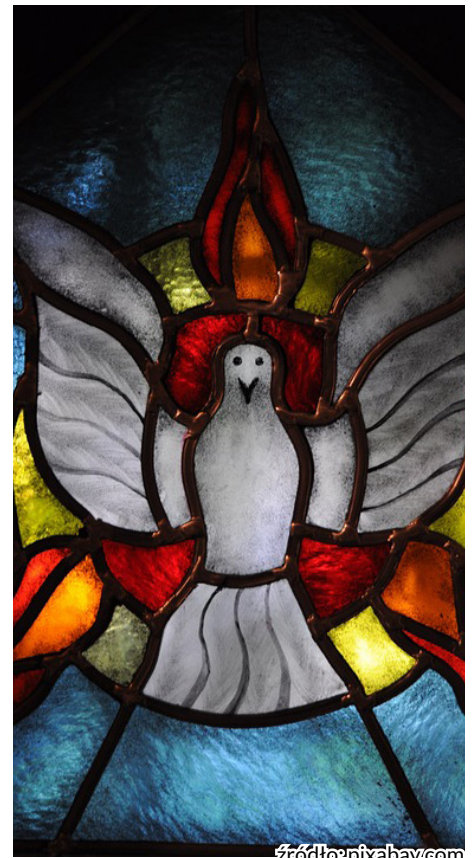
Ha! Gdybym to wiedział. Na pewno ważne jest to, co powiedział święty Paweł, „Moc w słabości się doskonali”. Widzimy dzisiaj pewne słabe strony, nie tylko w nas samych, ale w świecie, strukturach, społeczeństwie, polityce, wszędzie. Czujemy się trochę bezsilni wobec przeróżnych zagrożeń. W opisie stworzenia świata czytamy, że wszystko co Bóg stworzył było dobre. Nie można do świata obracać się plecami i narzekać. Naszym zadaniem ma być uświęcanie tego co jest. Najlepszym narzędziem jest modlitwa. U mnie [w parafii] jest adoracja Najświętszego Sakramentu – dzień i noc. Z satysfakcją widzę w dzień, a nieraz w nocy, wielu ludzi, którzy z różańcem w ręku klękają i modlą się, i to również młodych. Wytrwała modlitwa

owocuje. Dostrzegamy w parafiach istnienie wielu grup apostoelskich, dawniej w Kościele nieznanych. Przykładem takiej Bożej aktywności mogą być ostatnie inicjatywy podejmowane przez ludzi świeckich np. wielka pokuta w Częstochowie czy różaniec do granic. W tych inicjatywach Duch Święty zadziałał nawet poza strukturami Kościoła hierarchicznego. Myślę, że wasze pismo jest też takim przykładem.

Padło pytanie „Co robić?” Przede wszystkim wierzyć i ufać. Kościół jest ciałem mistycznym Chrystusa. Jeżeli tak to będzie on trwał wiecznie. Zagrożeniem są nasze słabości, ale duszą Kościoła jest Duch Święty. Dlatego też jestem przekonany, że żadna siła nie może zagrozić Kościołowi.

Im dłużej żyję, tym większym jestem optymistą. Wychowałem się w czasach komunistycznych. Wydawało się, że będzie to trwało wiecznie. Pamiętam jaką trwogą ogarnęło mnie hasło wypisane na jakiejś fabryce i z daleka widocznie – „Wkraczamy w XXI wiek z Leninem”. Dzisiaj to brzmi jako żart, ale wtedy budziło grozę. Tymczasem przyszedł Jan Paweł II i wszystko się zmieniło.

W tej chwili zagrożeniem przyszłości świata stał się liberalizm, którego skutki z bólem obserwujemy. Z kolei u nas



źródło: pixabay.com

w Polsce nadzieję budzi odradzający się patriotyzm, oparty o chrześcijańskie wartości. Ci, co go głoszą, często sami nie zawsze pochodzą z rodzin katolickich. Pan Jezus powiedział, że może nawet z kamieni stworzyć swoich czcicieli.

Na koniec naszej rozmowy chciałbym zapytać Księdza Infułata, w jaki sposób osobiście odbiera Ksiądz działanie Ducha Świętego w swoim życiu – biorąc pod uwagę całe życie kapłańskie, jak i życie chrześcijańskie w Kościele?

Właściwie już trochę dotknąłem odpowiedzi na to pytanie. Doświadczenie życiowe umacnia moje zaufanie w moc Ducha Świętego. Tyle widzia-



źródło: pixabay.com

tem zagrożeń Kościoła i doświadczyłem, że przeleciały jak wspomniana chmurka „nubacula”, a Kościół ciągle trwa.

Nie możemy być ślepymi optymistami, bo czasem, jak w Księdze Hioba, Pan Bóg pozwala szatanowi trochę poszaleć i w naszych czasach szaleje on dosyć mocno. Widzę nieraz jak z dobrych, katolickich rodzin dzieci, czy wnuki odchodzą od Boga, ale znam też rodziny liberalne czy ateistyczne, w których dzieci stają się gorliwymi wyznawcami wiary. Odbieram to jako ciągłe działanie Ducha Świętego, który *odnawia oblicze ziemi*. Sam skromnie dodam, że coraz mocniej kocham Kościół i kapłaństwo, dziękując za łaskę powołania. Myślę, że to co wy czynicie też jest jakimś znakiem działania Ducha Świętego.

Dziękuję Księdzu bardzo za tę rozmowę, również w imieniu całej redakcji, a także proszę o modlitwę za nas.

Ksiądz Jan Sikorski urodził się w roku 1935 w Kaliszu. Ukończywszy seminarium duchowne w Warszawie przyjął święcenia kapłańskie w 1958 roku. Po 21 latach kapłaństwa został mianowany ojcem duchownym warszawskiego seminarium. Po śmierci ks. Jerzego Popiełuszki kontynuował jego posługę na Mszach świętych za ojczyznę. Wkrótce został proboszczem parafii św. Józefa na warszawskim Kole, gdzie bardzo rozwinął tamtejsze duszpasterstwo – wspierał i zakładał wspólnoty, a także rozpoczął całodobową adorację Najświętszego Sakramentu, trwającą po

dzień dzisiejszy. Równolegle z obowiązkami proboszcza zajmował się także duszpasterstwem więźniów w Warszawie, jako pierwszy naczelnny kapelan Duszpasterstwa Więziennego w Polsce. Po odejściu na emeryturę w roku 2006 pełnił funkcję ojca duchownego w kijowskim seminarium, skąd wrócił rok później, aby objąć duchową opiekę nad duchowieństwem warszawskim. Obecnie jest rezydentem przy parafii św. Józefa na Kole. W roku 2011 otrzymał tytuł honorowy protonotariusza apostolskiego (infułata). W ciągu swojej posługi ksiądz Jan dał się poznać jako wybitny, płomienny kaznodzieja. Wciąż wiedzie bardzo aktywne życie w Kościele, oddając się kapłańskiej służbie.



źródło: wikicommons

Charyzmaty Ducha Św.



Krzysztof Działik

Od początków chrześcijaństwa można zauważyć jak wyznawcy Chrystusa, dzięki łasce danej przez Ducha Św., posługują charyzmatami. Słowo „charyzmat” możemy tłumaczyć z greki klasycznej jako „łaska, bezinteresowny dar.” Charyzmat jest zatem pewnym darem, łaską daną przez Ducha Świętego.

Charyzmaty kiedyś

Święty Paweł na początku dwunastego rozdziału Pierwszego Listu do Koryntian wymienia charyzmaty – dary Ducha Świętego: „Jednemu dany jest przez Ducha dar mądrości słowa, drugiemu umiejętność poznawania według tego samego Ducha, innemu jeszcze dar wiary w tymże Duchu, innemu łaska

uzdrowiania w jednym Duchu, innemu dar czynienia cudów, innemu prorocтво, innemu rozpoznawanie duchów, innemu dar języków i wreszcie innemu łaska tłumaczenia języków. Wszystko zaś sprawia jeden i ten sam Duch, udzielając każdemu tak, jak chce.” (1 Kor 12, 8-11)

Na kartach Pisma Świętego w wielu miejscach możemy dostrzec przykłady działania

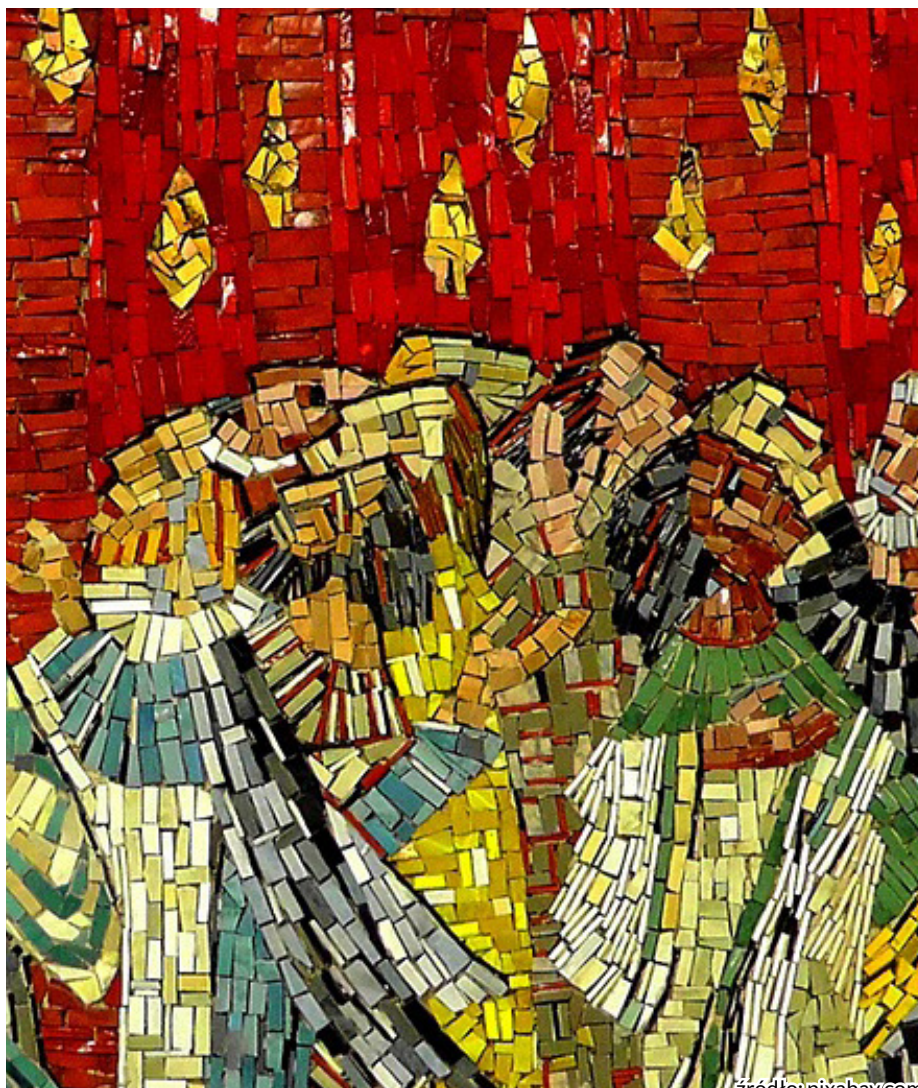
Ducha Świętego poprzez ludzi, którzy posługują charyzmatami. Po Zesłaniu Ducha Św. apostołowie zaczęli mówić językami tak, że każdy z obecnych wówczas w Jerozolimie pobożnych Żydów słyszał mowę w swoim języku ojczystym. Piotr i Jan uzdrowili chromego, żebrzącego przy bramie świątyni, o czym można przeczytać w trzecim rozdziale Dziejów Apostolskich.

Oczywiście przykładów posługiwania charyzmatami przez Apostołów i ich następców można znaleźć w Biblii o wiele wiele więcej.

Na przestrzeni wieków również wielu świętych zostało obdarzonych tymi szczególnymi darami Ducha Św. Przykładem mogą być św. Jan Maria Vianney i św. Pius z Pietrelciny, którzy mieli charyzmat poznania. Również wielu innych świętych jak chociażby św. Franciszek z Asyżu czy św. Faustyna Kowalska było charyzmatykami.

Charyzmaty dziś

Ostatnimi czasy, zarówno w Kościele Katolickim, jak i w innych denominacjach chrześcijańskich, można zaobserwować powstawanie i rozwój grup charyzmatycznych. Wydaje się, że najbardziej znaną wspólnotą charyzmatyczną działającą w Kościele Katolickim jest Ruch Katolickiej Odnowy w Duchu Świętym, powstały po Soborze Watykańskim II. W wielu zgromadzeniach, niekoniecznie stricte charyzmatycznych, praktykuje się posługę charyzmatami. Do najpowszechniejszych należy modlitwa językami czy widzenie obrazów, zwłaszcza podczas modlitw wstawienniczych czy uwielbień. Dużym zainteresowaniem wiernych cieszą się także Msze z modli-



źródło: pixabay.com

twą o uzdrowienie. W większych miastach znaleźć można po kilka, czy nawet kilkanaście parafii, które je sprawują. Dzięki internetowi osoby, które nie są w stanie przybyć na Liturgię, mogą oglądać transmisję na YouTube – taką możliwość dają chociażby oo. jezuici z łódzkiej parafii Najświętszego Imienia Jezus, którzy razem z zespołem Mocni w Duchu przygotowują Msze z modlitwą o uzdrowienie w każdą ostatnią niedzielę i ostatni poniedziałek miesiąca.

Nie wolno zapomnieć, że wszelkie charyzmaty nie są dane dla poklasku czy chwały osoby

która te je otrzymała. Charyzmat nie służy do zdobywania popularności i budowania osobistej pozycji. To dar, który ma przybliżyć do Boga osobę, która nim posługuje i oraz tych, wobec których pełniona jest posługa. Posługa to kluczowe i bardzo ważne słowo. Charyzmat jest bowiem nie tylko dany, ale również zadany. Osoba obdarzona charyzmatem ma świadczyć o Bogu. Sam Chrystus mówi w Ewangelii wg św. Łukasza: „Komu wiele dano, od tego wiele wymagać się będzie; a komu wiele zlecono, tym więcej od niego żądać będą.” (Łk 12,48).



źródło: pixabay.com

Charyzmaty nie tylko nadzwyczajne

Święty Paweł w Pierwszym Liście do Koryntian, co prawda najpierw wymienia i wskazuje charyzmaty, jednak w dalszej części listu wyraźnie zaznacza, brak obdarowania którymś z nich, nie oznacza bycia „gorszym chrześcijaninem” czy osobą mniej wierzącą. Apostoł Narodów pisze: „Czyż wszyscy są apostołami? Czy wszyscy prorokują? Czy wszyscy są nauczycielami? Czy wszyscy mają dar czynienia cudów? Czy wszyscy posiadają łaskę uzdrawiania? Czy wszyscy przemawiają językami? Czy wszyscy potrafią je

tłumaczyć? Lecz wy starajcie się o większe dary: a ja wam wskażę drogę jeszcze doskonalszą.” (1 Kor 12, 29-31). Dalej św. Paweł wskazuje, co jest równie ważne, jeśli nie ważniejsze w codziennym życiu chrześcijanina:

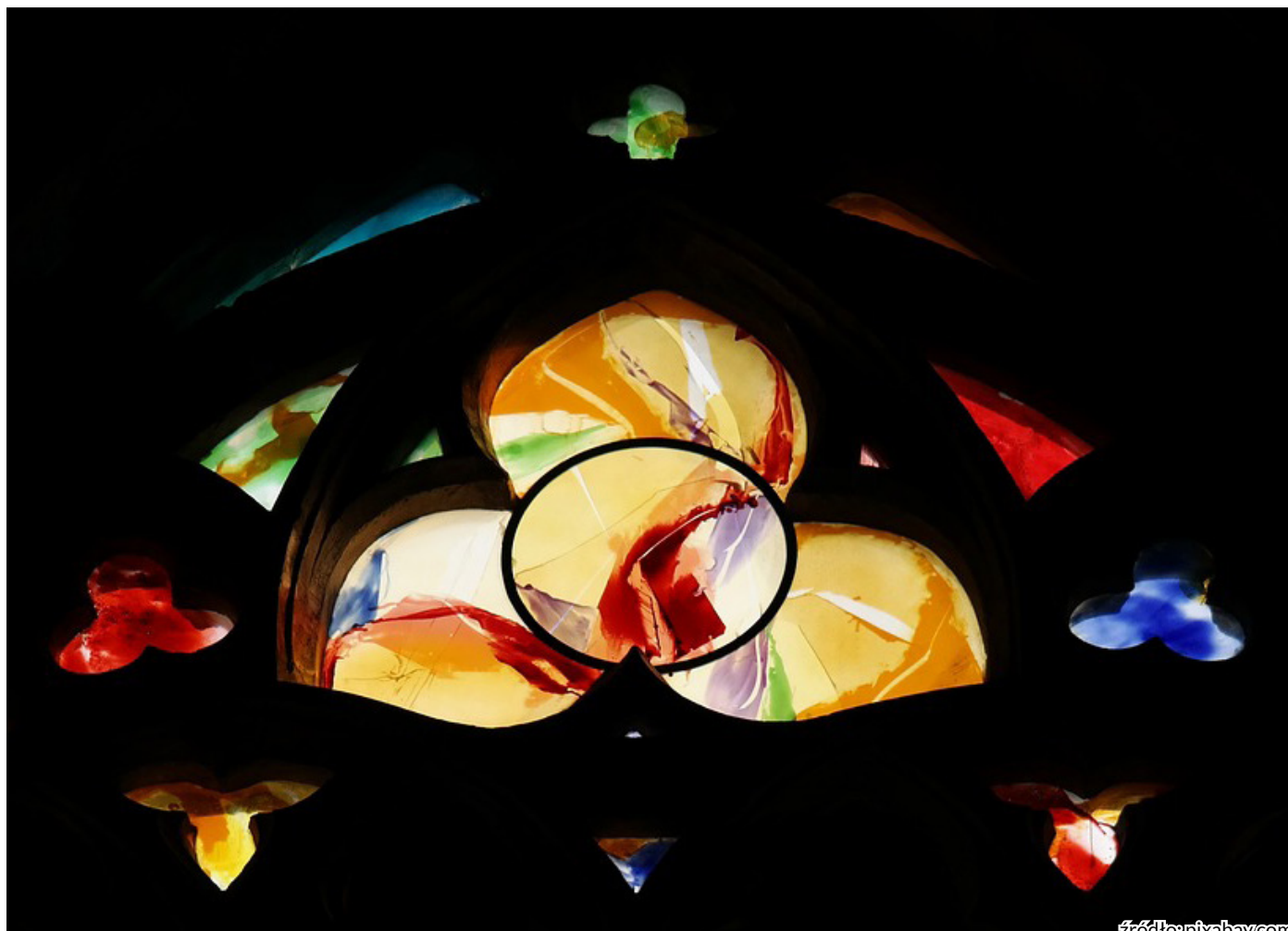
„Miłość nigdy nie ustaje, [nie jest] jak prorocтва, która się skończy, albo jak dar języków, który zniknie, lub jak wiedza, której zabraknie. Po części bowiem tylko poznajemy, po części prorokujemy. Gdy zaś przyjdzie to, co jest doskonałe, zniknie to, co jest tylko częściowe.”

(1 Kor 13, 8-10)

Nie chodzi tu jednak o popularny wśród niektórych katolików, uzewnętrzniany szczególnie w internecie pogląd, jakoby najważniejsza była „miłość w serduszkach”, przejawiający się w stwierdzeniach, iż współżycie przed ślubem jest dozwolone, gdy para je podejmująca „bardzo się kocha”, czy upraszczanie religii katolickiej do sloganów typu „najważniejsze być dobrym człowiekiem”. Owszem, miłość jest ważna, bowiem to z niej wypływać winny wszystkie dobre uczynki i to właśnie przez wzgląd na miłość do Chrystusa i Kościoła należy przestrzegać praw przez nich nadanych.

Charyzmaty są pięknym świadectwem działania Ducha Św. w życiu człowieka. Zapewne niektórym osobom pomagają umocnić wiarę. Należy jednak pamiętać, aby nie uzależniać swojej wiary od obecności charyzmatów. Również we wspólnotach posługa charyzmatami jest zaledwie jednym z przykładów posługi wobec bliźniego. Nie można zapomnieć, że poza charyzmatami duchowymi równie ważny we wspólnocie jest „charyzmat miotły i szufelki”, czyli zwykła posługa praktyczna wobec drugiego i wykonywanie codziennych, nie zawsze przyjemnych czynności, chętnie i z miłością.





źródło: pixabay.com

Duch w Kościele – Kościół w świecie



Piotr Bogdanowicz

„Jednakże mówię wam prawdę: Pożyteczne jest dla was moje odejście. Bo jeżeli nie odejdę, Pocieszyciel nie przyjdzie do was. A jeżeli odejdę, pošlę Go do was” (J 16,7). Spełnił Chrystus swoją obietnicę daną Apostołom w czasie Ostatniej Wieczerzy. Jego odejście sprawiło, że założony przez Niego Kościół oczekiwał na wylanie Tego, który ma być Pocieszycielem. Tak też się stało w dniu Pięćdziesiątnicy, kiedy w sposób widowiskowy wręcz Duch Święty zesłany został na Apostołów i trwa On w Kościele aż do dziś, dając Mu moc sakramentów, czyniąc z Niego tajemnicę lub – jak mówi Sobór Watykański II – powszechny sakrament zbawienia.

Duch Święty w sposób niewidzialny ożywia widzialne struktury założone przez Chrystusa. Daje Kościołowi życie, moc sakramentów, wzbudza w Apostołach i ich następcach lecz także wszystkich członkach

Kościółu charyzmaty mające zawsze wymiar służebny wobec całej wspólnoty. I to wszystko pomimo ewidentnej grzeszności nas – wierzących. Rzeczywistość Kościoła polega zatem na stykaniu się świętości z grzesz-

nością i na pokonywaniu grzeszności dzięki wlewanej przez Ducha Świętego mocy, płynącej ze zbawczej śmierci Chrystusa na krzyżu. To w Kościele, jako Ciele Chrystusa i Świątyni Ducha Świętego, wypełnia się zbawcze



źródło: pexels.com

dzieło Chrystusa. Ponadto Kościół, jako narzędzie, pełni rolę służebną wobec tego dzieła, przez co sam staje się w Chrystusie niejako sakramentem prowadzącym do zbawienia (Lumen Gentium, 1).

Każdy ochrzczony należy właśnie do tego Kościoła. Rodzi się tu jednak zasadnicze pytanie: jak „być” sakramentem dla innych? W jaki sposób się to przejawia? Co robić, aby wraz z Kościołem i w Kościele być widzialnym znakiem działania niewidzialnej łaski Bożej?

Sentire cum Ecclesia

Współodczuwanie z Kościołem. To zdanie świętego Ignacego z Loyoli daje nam pewne

wskazówki, pozwalające znaleźć odpowiedź na powyższe pytania. Każdy spośród członków Kościoła winien razem z Nim współodczuwać. To znaczy żyć tym, czym żyje Kościół, czuć się Jego integralną częścią, jednością z Nim i w Nim. Cieszyć się Jego radościami i z z troskaniem spoglądać, gdy dzieją się rzeczy złe i budzące smutek. To ciągłe staranie się o to, by trwać w sercu Kościoła, wspierać Go, a gdy trzeba – upominać. Wszystko to jest możliwe tak naprawdę tylko dzięki pomocy Ducha Świętego i we współpracy z Nim. Przez życie sakramentalne, modlitwę, post i jałmużnę, dzieła miłosierdzia, pogłębianie swojej wiary

a także wiedzy Duch uwrażliwia nas na to wszystko, co dzieje się we wspólnocie wierzących zarówno tej lokalnej, jak i powszechnej.

Każdy ochrzczony tworzy Kościół i wiara wszystkich Jego członków stanowi o autentyczności Jego świadectwa wobec świata. Ma to fundamentalne znaczenie, gdyż zasadniczo to nie Kościół jako taki odpycha ludzi od Chrystusa, lecz brak jedności między myślą i postępowaniem Jego członków zbyt często prowadzi do tego, że gasimy knot o nikłym płomyku i łamiemy trzcinę nadłamaną (por. Iz 42,3).

Ecclesia sentit cum mundo

Na tym jednak nie można poprzestać. Kościół oprócz tego, że tkwi we wnętrzu ludzkości, jest obecny praktycznie w każdej społeczności i wspólnocie ludzkiej, to zarazem ją przekracza. Mało tego. Jest do tej ludzkości posłany. Stąd uważam, że należy dopowiedzieć do zdania św. Ignacego Loyoli, że mamy nie tylko współodczuwać z Kościołem, lecz i Kościół ma współodczuwać ze światem. Wyraźnie zaznaczył to Sobór w Konstytucji Duszpasterskiej o Kościele w świecie współczesnym, mówiąc: „radość i nadzieja, smutek i lęk ludzi w naszych czasach, szczególnie ubogich i wszel-



źródło: pexels.com

kich uciśnionych, są również radością i nadzieją, smutkiem i lękiem uczniów Chrystusa i nie można znaleźć nic prawdziwie ludzkiego, co nie odbijałoby się echem w ich sercach [...] Dlatego rzeczywiście doświadczająca najściślejszej łączności z rodzajem ludzkim i jego historią” (Gaudium et spes, 1).

Kościół mający w sobie Ducha Świętego wypełnia swoje posłannictwo w Jego mocy w świecie pogubionym i poranionym przez grzech, w świecie, który nie wierzy, a często nawet nie szuka lub przestał szukać Boga, w świecie, który wierzył, lecz z różnych powodów ta wia-

ra została w nim zabita. A dokonuje się to przede wszystkim przez głoszenie orędzia zbawienia opartego na żywym i autentycznym świadectwie wiary jednostek w Chrystusa, życie sakramentalne oraz nie poddawanie się rozpacz i pesymizmowi, które płyną z grzechu wciąż obecnego w Jego wnętrzu. Wręcz przeciwnie, to świadectwo ma mówić o zwycięstwie nad grzechem i śmiercią w Jezusie Chrystusie.

To właśnie dlatego, że w Kościele zderzają się ze sobą tajemnica nieprawości grzechu z tajemnicą pobożności i świętości, daje Mu to uprzywilejo-

waną pozycję opartą przede wszystkim na fundamentalnym doświadczeniu walki i zwycięstwa nad grzechem w Chrystusie. Owszem, trwa ona nadal w Kościele, któremu Chrystus dał władzę stąpać „po węzach i skorpionach, i po całej potędze przeciwnika” (Łk 10,19) i domaga się od nas, by nie lekceważyć tego, który „jak lew ryczący krąży szukając kogo pożreć” (1 P 5,8) i który może „duszę i ciało zatracić w piekle” (Mt 10,28). To jednak my, jako Kościół, mamy wszystkie narzędzia potrzebne do zwycięstwa. Mamy przede wszystkim drogocenne Ciało i Krew Chrystusa, który przez śmierć krzyżową wybawił nas od śmierci wiecznej. Mamy sakramenty, mamy w końcu złożoną w ręce Apostołów i ich następców Boską władzę odpuszczania grzechów. Wszystko to przy czynnym, ożywiający udział Ducha Pocieszyciela, Ducha Prawdy.

Współodczuwanie z Kościołem zawsze będzie wypaczone, jeśli jako Jego członek indywidualnie i we wspólnocie nie będę potrafił tak samo współodczuwać ze światem. Bez pomocy Ducha Świętego to niemożliwe. Bez Jego pomocy jakiegokolwiek starania i głoszenie Chrystusa są nieskuteczne.

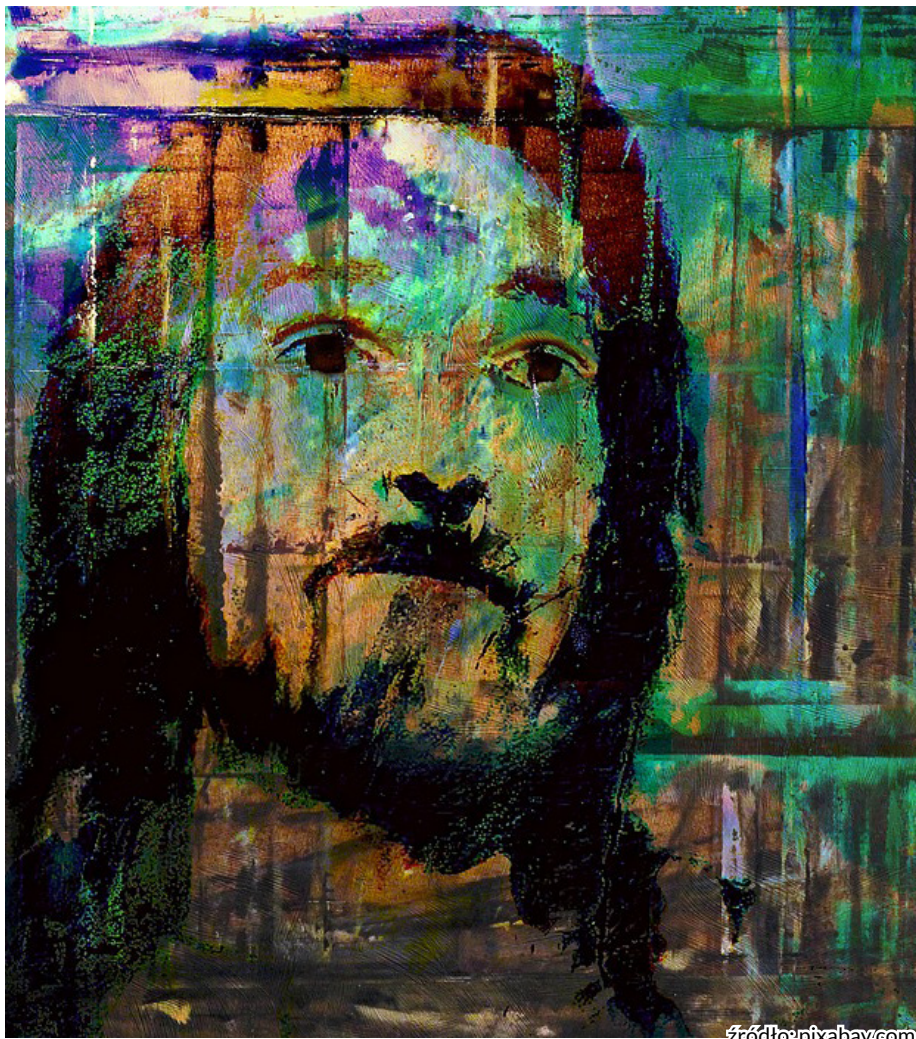


“Ogień martwego Boga”



Tomasz Kumięga

Katolicki znaczy powszechny, lecz gdy się rozejrzemy wokoło, jest coraz więcej miejsc, gdzie ta powszechność jest anachronizmem. Świat skosztował Boga, lecz znów zaczął go odrzucać. Jak więc głosić Boga dziś? Czy rozumiemy tego, kto jest obok nas i już nie wierzy Bogu, czy raczej tkwimy w bezpiecznym kręgu własnych przekonań o tym, jaki jest świat. Świat nie jest chrześcijański, to naszym zadaniem jest go takim uczynić mocą Ewangelii!



źródło: pixabay.com

Ostatnie dekady w Kościele zadeklarowały jako dwa podstawowe zadania chrześcijanina: świętość i głoszenie Ewangelii. Świętość, nasz nadprzyrodzony cel, jest kontekstem całego naszego życia. Ona kieruje je ku Bogu, wyznacza nam pewne credo. Mówi jak powinniśmy działać w świecie, by bezpiecznie przejść ku nowemu i ku otwartym ramionom Boga. Świętość, choć w niesamowity sposób oddziałuje na nasze otoczenie, jest sprawą przede wszystkim indywidualną. Katolik ma cel, w którym nie jest osamotniony, lecz samotnie ponosi odpowiedzialność za swoje

zbawienie. Jednak pomimo całej wolności ludzkiej osoby, człowiek ma w sobie naturalną potrzebę przynależności do większej struktury. W tej strukturze Kościół odnajduje drugie zadanie wierzącego, czyli głoszenie Ewangelii. Ewangelizacja nie jest pozostawiona jednostce, od początku jest odczytywana jako zadanie całej wspólnoty i tych, którzy ją współtworzą. Gdy ewangelizujemy, nigdy nie jesteśmy osamotnieni, towarzyszy nam całe misyjne dzieło Kościoła, cała jego modlitwa i doświadczenie. Zarówno ewangelizacja jak i świętość prowadzą do spotkania z Bogiem, choć różnią się

wektorem ludzkiego działania. Świętość pcha nas samych ku Bogu; ewangelizując, popychamy innych w Jego stronę.

Nowa ewangelizacja w nowym świecie?

Ziemskie życie staje się walką o własną świętość, jak i zmaganiem o to, by ci, którzy nie spotkali miłości Boga, mogli się podjąć przemiany swojego życia. Zmagamy się z tymi, którzy nie chcą już słuchać. Świat od zawsze miał problem z Bogiem. Jego wymagania dla wielu są zbyt abstrakcyjnie i absurdalne. Wiara i jej wymagania są cięża-

rem nie do uniesienia, ponieważ świat, choć jest prawdziwie dziełem bożym, zamieszkuje grzech i wbrew opiniom wielu wcale nie jest chrześcijański. To zadaniem chrześcijanina jest go czynić takim. Kościół, obserwując swoje wielowiekowe zmagania, doszedł do wniosku, iż obecnie w sekularyzującym się świecie potrzebna jest tzw. "nowa ewangelizacja", która pomoże człowiekowi na nowo odkryć przesłanie ewangelii i pozwoli mu żyć pełnią chrześcijaństwa. Jak i czy w ogóle można mierzyć skuteczność naszych działań ewangelizacyjnych? Czy ewangelizacji można się wyuczyć, tak że przeciętny katolik będzie mógł sprawnie przeprowadzić Richarda Dawkinsa przez meandry wiary? Jaką propozycję ma nowa ewangelizacja dla biologa ewolucyjnego? I czy rzeczywiście Kościół potrafi jeszcze wyczuć to, czym żyje świat i przemówić do niego jak św. Franciszek czy św. Dominik? Takie prowokacyjne pytania warto sobie stawiać, myśląc o ewangelizacji. Myśleć o niej trzeba szeroko, tak by objąć jak najszersze obszary życia z Bogiem i bez Niego. Katolicyzm stara się pa-



źródło: pixabay.com

dewotów, a nie prawdą porwijącą umysł i serce. Trójjedy-ny Bóg chce nam powiedzieć to, do czego sami dojść nie umiemy i zostawia nam, katolikom, najcenniejszy depozyt, jakim jest zbawienie ludzkich dusz. Słaby człowiek ma stać się boskim na-
rzędziem.

Bóg wzywa nas do siebie od początku historii, od początku też Bóg szuka ludzi, którzy będą zdolni przekazywać Jego słowa, które zawsze są aktualne innym. Bóg jest zawsze teraz, zawsze jest obecny dla nas i zawsze jest kimś z naszych czasów. Rozumie nas lepiej niż my samych siebie. Jesteśmy dziećmi swojej epoki, która wypowiada się w sposób unikalny o swoich problemach i sposobach ich rozwiązania. W każdej epoce człowiek ucieka od Boga i do Niego powraca. Każda ewangelizacja jest wciąż nowa. Zmienia się jedynie sposób głoszenia i ludzkie potrzeby. Nowa ewangelizacja jest więc raptem pleonazmem, nie może

też być również nazwą jakiegoś nowego ruchu, skoro trwa on od wieków. Trudno jest mi się też zgodzić z tezą, że kiedyś ludzie byli bardziej chrześcijańscy niż są teraz, dlatego potrzebują szczególnej odnowy. Nowe środki jak internet, mass media, zaawansowana technologia wcale nie nadają nowej jakości ewangelizacji, to co jest nowe to jedynie forma, wymuszająca nieznane dotąd sposoby komunikacji jak i wynikające z tego problemy. To, co się wydaje być nowym, dla świata jest stale aktualnym. Tak jak świat wytwarza i rozwija poziom egzystencji, kreując niesamowitą różnorodność, tak życie chrześcijańskie obfituje w różnorodne formy wyrazu, iż można by pokusić się o stwierdzenie, że każda epoka miała swój główny religijny rys jak i swój główny grzech oraz herezję. Raz dominować mógł np. kult publiczny, innym razem osobista pobożność, a raz społeczne zaangażowanie w uczynki miłosierdzia lub konkretne

formy politycznej działalności mogły świadczyć o katolickości narodu, choć z drugiej strony równie dobrze mogła szerzyć się dewocja, zbytnie przywiązanie do pewnych form, układanie się ze światem, nierząd czy inne. I nie ma w tym nic odrażającego. Jako chrześcijanie, którzy ciągle mówimy o niezmiernym miłosierdziu Boga, powinniśmy we właściwy sposób być wyrozumiali dla grzesznego człowieka. Każdy z nas mógł przecież zaplątać się w taką sieć zależności, z której swoimi siłami trudno się wydostać, a nie wszyscy mają siłę lub chęć wołać wtedy uparcie do Boga.

Uświęcanie grzechu

Ten zbawił nas, gdy byliśmy grzesznikami, a nie świętymi. Gdyby świat był właściwie ułożony, gdyby nie tkwił w nim pewien rozkład, historia zbawienia nie byłaby wcale potrzebna. My jednak lubimy i śmierć, i grzech. Wymyśliliśmy panteon krwiożerczych bogów ludzkości, a jeszcze więcej obrzydliwych fantazji. Chrystus pozwolił stać się ofiarą tej naszej morderczej pasji, by ostatecznie pokonać całą tę grzeszną maskaradę, ukazując jej komiczny charakter. Doświadczył przy tym głębin naszego brudu i fikcji, w której się płaczemy. Na kartach Ewangelii możemy usłyszeć, jak Jezus

prostuje talmudyczne zawłości faryzeuszy i ich błędne przekonania. Ukazuje on również te sprawy, które przeoczyli inni i jasno określa grzech oraz właściwe postępowanie. Przed Chrystusem, jak i po nim, potrzebni byli Bogu także ludzie, którzy będą prostować ludzkie błędy, potocznie zwane myśleniem. Ewangelizacyjna misja Kościoła jest w gruncie rzeczy misją proroczą. Bóg od początku potrzebuje proroków, osób, które trzeźwo ocenia rzeczywistość w obliczu wyznawców własnych szaleństw. Zło jest niekiedy tak absurdalne, że człowiek, by dalej móc mu ulegać, dokonuje niebywałych intelektualnych akrobacji, czaruje i majstruje przy nim, obchodzi je trzy razy w kółko, trzymając w ręku łapkę pierwotnego królika, a wszystko po to, by ostatecznie zło nazwać dobrem. Cała ta komedia powtarza się za każdym razem, gdy pojawia się coś, co trzeba usprawiedliwić. Odstawiamy społeczne misteria, podobnie jak Kościół cyklicznie celebrował swe święta. Zło potrzebuje pewnych cech religijności, ponieważ ludzkość stworzona przez Boga ma naturalną potrzebę identyfikowania się z Absolutem. Niegodziwości nie da się przy tym połączyć z najwyższym dobrem, ale da się ją do niego upodobnić. Dlatego nie mogąc przyznać racji prawdzie i realizować bożych

nakazów, człowiek organizuje sobie życie na wzór życia religijnego, podstawiając tylko feralne zamienniki, które pomimo to nie mogą mu przynieść jednego – spokoju. Człowiek ciągle coś zakłamuje i ciągle mierzy się z prawdą, którą ciężko mu przyjąć. Brak prawdy i nie podążanie drogą, która została mu wytyczona, budzi w nim ciągle mniej lub bardziej szlachetne egzystencjalne dylematy. Organizuje wspólnotę ludzi, którzy wspierają się w uciszaniu własnego sumienia.

Cena proroka

Bycie prorokiem w takim świecie ma więc swoją cenę. Nikt z nas nie lubi być nazywany wariatem; a cóż innego czyni ten, kto jasno wskazuje szaleństwo naszego społeczeństwa? W dziejach historii prorok zostaje uciszony symbolicznie albo faktycznie. Nóż w piersi proroka działa identycznie jak paracetamol, lecz migrenę wywołaną krzykiem sumienia. Chrystus umierając na krzyżu, wyjął nas spod władzy grzechu i śmierci, lecz mimo to wciąż możemy zgrzeszyć. Potencjalnie jesteśmy zarówno grzesznikami i świętymi. Człowiek jest istotą wolną, posiada wolność wybierania pomiędzy różnymi opcjami. W dobie pluralizmu proroczy głos Ewangelii jest je-



dynie jedną z możliwych opcji. Ludzie zaś mają lepszy pomysł na życie niż Stwórca, choć nie są w stanie pojąć, jak właściwie działa świat. Nasza wiedza stanowi raptem ułamek tego, co kryje rzeczywistość. Są tacy w Kościele, którzy będą starali się przekonać, że jego wołanie przestaje być słuchane, ponieważ Dobra Nowina nie jest już atrakcyjna, jednak czy ona kiedykolwiek była czymś atrakcyjnym? Nawet jeśli, to rzeczywiście szli za nią nieliczni. Skoro za głosem Chrystusa nie ruszył cały Izrael, a jedynie część pozostała wierna Jego nauczaniu, to czemu za Kościołem miałyby udać się większa rzesza zbawionych? Sami też doświadczamy jak trudno jest oprzeć się grzechowi, poddać się w pełni prawdom wiary, zachować pokój w czasie cierpienia. Słuchanie głosu Boga nie jest sprawą łatwą.

Czym musi być wobec tego mówienie w Jego imieniu, gdy dla nas On sam pozostaje tajemnicą? Zatem sama ewangelizacja zdaje się być ogromnym wyzwaniem i dla ewangelizującego Kościoła i ewangelizowanego świata. Ewangelia jest wspianym przestaniem, lecz odpowiedź na pytanie, czemu nie trafia ona do każdego, zna wyłącznie Bóg, który przenika serce i wie, co czyni jego głębiej lub bardziej żywną.

Nie ulega jednak wątpliwości, że my na swej drodze do świętości mamy wspierać innych. Miłość do bliźniego nie powinna nam dać możliwości przejść obojętnie obok człowieka idącego na zatracenie. Bóg nie chce śmierci grzesznika, tak i Kościół, biorąc przykład ze swojego Mistrza, nie ustaje w zabieganiu o jego los. Zadzi-

wiony zaś jestem, gdy niektórzy dziwią się, że Kościół jest łżony ze wszystkich stron i nikt nie chce przyjąć go z otwartymi rękoma. Kościół nie jest placówką dyplomatyczną, choć jest przedmiotem polityki, a ta – jaka by nie była – często cechuje się cynicznym makiawelizmem. Ludzie kochają władzę, a ktoś może bardziej budzić zawiść niż ten, kto dominuje i jest wszechmocny? Nietzsche, niemiecki szaleniec, w swoim szale wypowiedział kiedyś jedną istotną dla nas prawdę: śmierć Boga zrodzi totalny nihilizm, zwłaszcza tam, gdzie ten Bóg był najznamienszym włodarzem. My zaś Boga już raz zabiliśmy i sęk w tym, że żyjemy dalej tak, jakbyśmy nie zauważyli tego, że On wyrwał się śmierci. Pusty grób do dziś jest nadzieją chrześcijan, mamy nadzieję, że i my ostatecznie wyrwiemy się razem z Chrystusem kościstej szkaradzie. Zdało się tym, co mu nie uwierzyli, że Jego oskarżycielski ton zamilknie na wieki. Ci, którzy jednak poszli do grobu, doznali szoku. Martwy Bóg rozpałił w ich sercu ogień. Każde słowo, które do tej pory było frasobliwą zagadką, jakąś trudną mową, mądrością spoza ludzkiego świata, zaczęło nabierać sensu. Kościół potrzebował jednak sakramentalnego przyścia Ducha Świętego, który dodał mu proroczej odwagi.

Gdzie się podziała moc ducha?

Dziś wielu katolików tęskni do tej pentekostalnej mocy, do tłumów, które przyjdą i posłuchają Boga, do Ducha objawiającego swoją obecność w nadprzyrodzony sposób. Kościół, mówiąc do tłumów, trafia do serc pojedynczych ludzi. Siły ewangelizacji nie da się zmierzyć liczbą ludzi na ewangelizacyjnym wydarzeniu. Ogólnie nogami i rękami zapieram się przed ewangelizacyjnymi eventami, które kojarzą mi się z kiczem i z czymś odległym od pawłowego przemawiania na ateńskim areopagu czy od mądrości jego listów. Czuję w tym żywą i szczerą chęć ewangelizacji, przy jakiejś obezwładniającej niemocy. Bóg szuka człowieka nawet wtedy, kiedy nie machamy flagami, gdy nie charczy nasze nagłośnienie, gdy odgrywamy wciąż tę samą pantomimę. Ewangelizacja jest dziełem Kościoła, które obejmuje całą przestrzeń ludzkiej egzystencji i nie ogranicza się do wydarzenia. Wydarzenie może być jedynie przejawem ewangelizacji, a nie głoszeniem Dobrej Nowiny per se. Ograniczanie się do mniej lub bardziej udanych akcji odbiera Kościołowi jedną ważną rzecz, jego społeczny charakter. Kościół nie tylko przemienia człowieka, on prze-

mienia także sfery jego życia, uderza w kulturę, starając się czynić ją bliższą Bogu. Chrześcijananie na różny sposób chcieli wprowadzać królestwo niebieskie na ziemi, jednak najsukceszniej zmienia się swój sposób życia. Kultura ma okiełznać naturę, natura zaś reguluje nasze pierwotne potrzeby, lecz to kultura określa nasze wzajemne współżycie. Kultura może zbudować zarówno królestwo Boga jak i szatańskie totalitarne imperium. Czy nazistowskie Niemcy były mniej cywilizowane niż Polska? Bynajmniej. A jednak wprowadzały prawa i zachowywały się w sposób, który niewiele miał wspólnego z prawem Bożym. Powstaje pytanie, czy legalne dokonanie mordu na dziecku można zmienić samym głosem komuś kerygmatu, klaszcząc w dłonie i przyjaźnie się uśmiechając? Może ma to jakiś wpływ, ale stosunkowo niewielki. Państwo, w którym żyją chrześcijanie, nawet w większości, nie może być wprost utożsamiane z państwem chrześcijańskim. Pierwszy Kościół, jeszcze naiwny i miotany doktrynalnymi sporami, był wrzucony w totalnie anty- i przedchrześcijański świat. Młodzi chrześcijanie i ich Bóg nie pasowali do religijnej poligamii i pluralizmu rzymskiego, byli też zbyt odmienni od żydowskiego rdzenia. Kościół zauważył, że także dziś

jest w podobnej, lecz nie w analogicznej sytuacji do sytuacji pierwszych wspólnot chrześcijańskich. Dzisiejszy świat jest natomiast światem postchrześcijańskim. Świat ten, choć za sprawą pierwszych misjonarzy poznał Boga, nie mógł zdzierżyć ani zrozumieć tego, co wydarzyło się na krzyżu, ostatecznie zaś wolał skupić się na swojej grzeszności i pokonać ją, ale bez Boga. Żyjemy w świecie, w którym boża obecność w nim stanowi rodzaj traumy u osób, które z jakiegoś powodu porzuciły wiarę lub nigdy jej nie poznały. Niewiedza i obcość, a także strach lub nawet obrzydzenie, są zazwyczaj powodem powstawania różnych stereotypów. Stereotypy te dotyczą także nas i spraw wiary. Najważniejsze jest więc nie dać się w niego wcisnąć. Przełamywać bariery, które tyle nie dzielą ludzi według podziału wierzący/ateista/agnostyk, co oddzielają przede wszystkim ludzi od Boga. Chrześcijanin jest mały, nie musi być na świeczniku, bo wie, że prawdziwy blask to Chrystus. Kościół nie dlatego tak bardzo chce ewangelizować, bo bierze udział w międzyreligijnych zawodach o największą liczbę wiernych, ale dlatego właśnie, że wie, że trwają inne zawody, w których stawką jest zbawienie drugiego człowieka. Ten, jak często widzimy, potrzebuje pomocy, potrzebuje świa-



źródło: pixabay.com

tła bijącego od ludzi wierzących. My zaś ewangelizujemy, lecz czy zawsze tak, że ktoś może dostrzec prawdziwy blask Prawdy, Dobra i Piękna?

Problem z ewangelizacją

Podczas wielu akcji ewangelizacyjnych, w których brałem udział przez lata formacji w ruchu oazowym, towarzyszyło mi to nieodzowne wrażenie, że coś robimy źle. I nie chodzi mi teraz o myśli typu, że może źle rozpromowaliśmy jakieś wydarzenie, że w Kościół w ostatnich czasach stracił swój dawny smak i styl, że wspaniale pomagamy

w tworzeniu jeszcze większej wizerunkowej farsy. Robimy coś źle w podstawowych założeniach. Ewangelizujemy zewangelizowanych tak jak niezewangelizowanych i choć może brzmi to karykaturalnie, to może w rzeczywistości właśnie tak jest. Trudno jest nam się przyznać, że nie mamy pomysłu na to jak dotrzeć do ludzi z XXI wieku, więc sięgamy do środków, które są nam znajome, w których my jako kościółkowi ludzie czujemy się dobrze. Unikamy tego, że patrzymy na ludzi jedynie przez pryzmat własnych doświadczeń i gustu, dlatego brak nam prawdziwej miłości

do nich. Nie potrafimy sobie poradzić intelektualnie z tym, że są inni ludzie, którzy nie wierzą lub nie praktykują, którzy mają problemy i pretensje do Boga, którzy znaleźli tysiąc powodów do tego, aby zanegować w sobie potrzebę wiary i miłości do bliźniego. Odnosiłem niekiedy to wrażenie, że pomijamy ludzi, których ewangelizujemy. Nie mamy dla nich żadnej sensownej propozycji poza podzieleniem się wykutym na blachę kerygmatem. Trudno coś zaproponować komuś, kogo się nie zna. Trudno kogoś poznać, skoro się go nie słucha i nie wyłącza się wniosków. "Eventowa ewangelizacja" jest też niekiedy bardzo nachalna i nie dziwi mnie to wcale, że ludzie się złością, gdy ktoś ich nachodzi jak Świadkowie Jehowy. Nie umiemy słuchać, a w dodatku nie umiemy także skutecznie walczyć o szacunek dla nas w przestrzeni publicznej. Z jednej strony w końcu zawsze będziemy linczowani i prześladowani, z drugiej strony powinniśmy dążyć do tego, by chrześcijaństwo było choć trochę intrygujące. Nie zawsze trzeba głosić samego Chrystusa, bo są sytuacje, gdy nie da się przeforsować pewnych racji, ale zawsze można głosić wartości, które z grubsza wychodzą z chrześcijaństwa. Lepiej ocalić mała, niż nic. Widzę możliwość w dokonywaniu transformacji

świata w jego katolickiej reinterpretacji. Zamiast nazywać coś diabelskim i dawać pożywkę tym, którzy wykorzystają to jako kolejny sprawny oręż przeciw nam, można coś nazwać dalszym krewnym katolicyzmu, ponieważ zawiera w sobie elementy ewangelicznego przesłania. To by nam pomogło z jeszcze jedną rzeczą – przestalibyśmy widzieć wszędzie wrogów. Chrześcijanin w istocie nie ma wrogów, choć niekiedy jest zmuszony konfrontować się z ludźmi nastawionymi wobec niego wrogo. Dla chrześcijanina każdy jest bliźnim, kimś bliskim, bo Chrystus nie umarł za wybranych i nie kazał nam kochać jedynie wybranych, ale wszystkich. Oczywiście miłość ta musi być rozsądna, bo po coś Bóg nam rozum dał. Do stawiania czoła nieprzychylnemu światu potrzeba chrześcijan odważnych także intelektualnie, zdolnych jak prorok oceniać różne mody i iść im na przekór, prowadząc innych.

Czasem robię sobie taką lekcję słuchania i dochodzę do wniosku, że wielu ludzi nie ma problemów z miłością Boga, bo gdzieś tkwi w nich przekonanie, pozostałość po chrześcijańskim świecie, że Bóg jest, może kocha, ma jakiś wpływ na życie, ale brak im totalnie zrozumienia tego czym jest Kościół i wiara.

Katolicy skupieni na ewangelizacji chcą głosić Zmartwychwstałego, jednakże w dziwny dla mnie sposób uciekają przed teologią. Teologiczne rozterki zamieniamy na bardziej przyziemne tematy, w obawie, że ludzie mogą nie rozumieć, że oni w sumie to nawet nie chcą słuchać o teologii, bo ważniejsze dla nich jest przesłanie o bożej miłości. Problem w tym, że katecheza też sobie nie radzi z teologicznymi aspektami wiary i pozostawia młodych ludzi, którzy potem stają się przeciw rodzicami mającymi za zadanie przekazywanie wiary, bez intelektualnych fundamentów. To doprowadza mnie do tezy, że ludzie (przynajmniej w Polsce) nie tyle są niezewangelizowani, co brak im porządnej katechezy dostosowanej do ich poziomu intelektualnego. Scholastycy dobrze zdawali sobie sprawę z tego, że wiara potrzebuje rozumu, a rozum wiary, co dostatecznie wyraża sformułowanie św. Anzelma: "fides quaerens intellectum" (wiara poszukująca zrozumienia), będące jedną z głównych podstaw tego ruchu. Wydaje nam się, że wystarczy wzbudzenie samej pobożności, ta jednak nie wystarczy nawet do tego, by wytrwać w uczestniczeniu w sakramentalnym życiu Kościoła. Wiara to nie pobożność i emocje, wiara to sposób życia, ale też myślenia, jeśli więc

jest ono w którymś miejscu wadliwe, trudno żeby nie powodowało rozdziewku w życiu. Dzieje się to także z naszej winy, bo nie dość kształcimy teologicznie świeckich. Kościół ma to do siebie, że czasem wyraża prawdy, które znacznie wyprzedzają jego aktualną rzeczywistość. Jedną z nich jest wyrażona w dokumentach Soboru Watykańskiego II potrzeba aktywności świeckich w Kościele i danie wiary sile, jaka w nich tkwi. Potencjał ten jest wciąż mocno niewykorzystany. Mało kto pomaga zrozumieć ludziom teologiczne zawiłości, a to one, ten brak zrozumienia fundamentalnych zasad rządzących i wiarą i sakramentalnym życiem Kościoła, prowadzą do największych rozsterków i skutkują odpływem wiernych, zagubionych na teologicznych manowcach. Wierni ci zaś mogli stać się wspaniałymi apostołami i świętymi.

Wiara ma być pokarmem dla rozumu

Sposobności do religijnych fałsetów w oceanie informacji jest wiele. Spotykamy się z mnóstwem quasi-mądrych cytatów, dowodzeń, że nie ma Boga, że Kościół to zło wcielone, a chrześcijaństwo to ciemnogród. My uciekamy zaś od odważnych propozycji; skupiając się na jednostce, tracimy z oczu to, co na nią tak

mocno działa – jej otoczenie. Celem Kościoła powinno być zarówno głoszenie pojedynczemu człowiekowi jak i budowanie instytucji kultury, wspieranie pozytywnych wartości bliskich chrześcijaństwu. Staramy się mieć ofertę poruszającą serca, lecz nie widzimy, że drażnimy rozum, który potrafi się buntować i szuka w nauce naciąganych dowodów na swoje tezy. Prawdy Kościoła są wieczne, wciąż aktualne, ale nie zawsze my podejmujemy refleksję nad ich świeżym i przemawiającym ukazaniem. Nie wszystkich pociąga naiwny i prosty styl, nie wszystkim potrzeba wspaniałej retoryki i erudycji, każdemu trzeba Boga. Po to też Chrystus zostawił nam na ziemi swego Ducha Świętego, abyśmy korzystali z jego darów. W dobie pentekostalizmu zdało się wielu katolikom, że Duch ten przestał być obecny, że trzeba go cały czas wzywać, tak jakby on nas opuścił i wymagał przypomnienia mu o naszym istnieniu. Duch Boży nie zapomina o swoim Kościele, bo jest przez cały czas w centrum Kościoła. Stawiam wiele pytań, bo jest przed nami wiele problemów, na które szczerze musimy sobie odpowiedzieć. Szczerość kosztuje własny komfort, a Duch Święty nie jest kimś, kto aprobejuje każde nasze działanie, choć tak często używa się go jako argu-



źródło: pixabay.com

ment uzasadniający naszą propozycję w Kościele. Skoro coś uważam, na pewno to pochodzi od Niego, wcale nie jest produkcją zmęczonego serca i rozumu, który nie chce się konfrontować z trudnościami.

Głosić mimo wszystko

Z pewnością nie warto rezygnować z żadnej próby ewangelizacji, nawet marnej i nieudanej. Kościół nie musi być agencją reklamową religijnego światopoglądu, lecz powinien być oddany swej misji jak i pokorny wobec swej słabości. Nie może mu zabraknąć odwagi i skuteczności w działaniu. Mamy być roztrop-

ni jak węże i nieskalani jak gołębie, nie każdy jednak musi być ewangelizatorem na miarę św. Franciszka Ksawerego czy innych wielkich świętych misjonarzy. Mimo to w naszym otoczeniu to my powinniśmy dbać o to, by szerzył się duch chrześcijański, bo życie katolika nie opiera się wyłącznie na kerygmacie. On jest jedynie podstawą, a dążąc do świętości mamy pogłębiać nasze życie chrześcijańskie. Mamy pomóc naszym bliskim, tym którzy nas otaczają, spotkać Boga, wprowadzić ich w pełne życie Kościoła, wspierać w wątpliwościach, tak byśmy mogli ich kiedyś spotkać wpatrzonych w oblicze Boga.





źródło: wikicommons

Boskie prawo królów



Antonio Akmadža

W 1690 r. John Locke opublikował „Dwa traktaty o rządzie”, słynne dzieło jeszcze słynniejszego autora, w którym znajdują się podstawy prawie każdej nowoczesnej teorii o państwie. Na nich oparta jest ogromna większość ustrojów państwowych, istniejących dziś na świecie. Natomiast dzieło Locke’a było odpowiedzią na inne, o wiele mniej znanego dzisiaj autora: „Patriarchę” Roberta Filmera z 1680 r.

Konfrontacja Locke’a z Filmerem jest obrazem konfrontacji nowoczesnego pojmowania państwa z doktryną, która w mniej lub bardziej czystej formie była oparciem dawnego porządku. Opierała się na nim średniowieczna Europa, aż do czasów dokończenia wielkich przemian, zapoczątkowanych na płaszczyźnie religijnej przez reformację, na płaszczyźnie ideowej przez oświecenie i po-

litycznej przez rewolucję francuską oraz resztę rewolucji w trakcie długiego XIX wieku. Pojęcia wprowadzone przez Locke’a i jego następców, tj. trójpodział władzy lub suwerenność ludu, są pojęciami stanowiącymi ramy naszego pojmowania rzeczywistości politycznej, w której żyjemy. W mniej lub bardziej świadomy sposób jesteśmy przez te pojęcia ukształtowani – stanowią one element naszej

mentalności. Niejeden dzieciak w szkole podstawowej dziwi się na lekcjach historii z powodu takich „wariatów” jak Ludwik XIV (i inni „szaleni” władcy), kiedy słyszy, że ci ludzie uważali, że ich władza jest z nadania boskiego i ośmielali się mówić zuchwale: „L’etat c’est moi” („Państwo to ja”).

Natomiast na dworze Ludwika XIV żył i pracował jeden z największych ówczesnych my-

ślicieli i teologów katolickich. Był to słynny biskup Jacques-Benigne Bossuet. Wśród jego licznych dzieł znajduje się obszerna książka pod tytułem „Polityka na podstawie samych słów Pisma Świętego”, opublikowana w 1709 r. Jeśli zdobędziemy się na to, aby wytrzeć kurz z grzbietów tej książki, tak samo jak i z „Patriarchy” wspomnianego Roberta Filmera, zrozumimy, że Ludwik XIV wcale nie był szalony, kiedy mówił „Państwo to ja”. Poznamy teorię polityczną, na której opierał się nie tylko cały dawny porządek, ale którą było w dużym stopniu przesiąknięte, co dla nas szczególnie ważne, nauczanie papieży rzymskich aż do początku XX w. Wspomniane dwa dzieła należą do rzadkich i w miarę całościowych wykładów doktryny, będącej duszą dawnego świata w jego zakresie politycznym i społecznym. Doktryny, która panowała zanim została sformułowana. Miała fundamenty sakralne, odzwierciedlające duszę ówczesnego człowieka i społeczeństwa. Nazywamy ją doktryną „boskiego prawa królów”.

Każda władza pochodzi od Boga

Pierwsze i podstawowe jej założenie jest takie, że każda władza została ustanowio-

na przez Boga, a nie pochodzi z ludu. Z tego wywodzi się również wniosek, że bunt przeciwko władzy jest buntem przeciwko Bogu. Joseph De Maistre, jeden z głównych myślicieli konserwatywnych w XIX w., ośmielił się stwierdzić, że bunt przeciwko władzy w porządku cywilnym jest tym samym, co herezja w porządku religijnym. Ta sama zasada powtarzana jest w wielu encyklikach papieży rzymskich w XIX w. (np. Cum primum i Mirare vos Grzegorza XVI oraz Quod apostolici muneris, Diuturnum illud, Immortale Dei i Sapientiae christianae Leona XIII).

Jakie są źródła takiego przekonania? Tutaj można przytoczyć trzy podstawowe argumenty, na które powołują się zarówno Bossuet i Filmer w swoich wykładach: 1. argument teologiczny, 2. argument z władzy ojcowskiej oraz 3. argument biblijny.

Argument teologiczny

Argument teologiczny wywodzi się ze stwierdzenia, że suwerenność jest jednym z atrybutów boskich. Bóg Ojciec jest suwerennym władcą wszechświata i tylko on posiada pełnię wszelkiej władzy „na niebie i na ziemi”. Nic na świecie nie dzieje się bez Jego przyzwolenia. Każda więc władza i suwerenność

ziemska ma udział w suwerenności boskiej, tak samo jak i każda miłość lub dobro jest tylko cząstkowym odzwierciedleniem Miłości i Dobra, które w swojej pełni istnieją tylko w Bogu i są Bogiem samym.

Bossuet w swoim dziele pisze: „Bóg jest prawdziwym królem. (...) Władza Boga jest wieczna i z tego powodu nazywamy go Królem wieków. Władza Boga jest absolutna. (...) Owa absolutna władza Boga ma swój pierwotny obiekt i fundament w Stworzeniu. On stworzył wszystko z niczego i dlatego wszystko jest w jego ręku”.

Dlatego zwolennicy doktryny o boskim prawie królów twierdzili, że tron władców doczesnych jest tak naprawdę tronem Boga, przy czym władca doczesny bynajmniej nie jest Bogiem, lecz sługą Bożym, którego zadaniem, jako namiestnika Boga, jest rządzić zgodnie z Jego wolą i prawem. Bóg bowiem, udowadnia Bossuet w oparciu o historię biblijną, na początku bezpośrednio rządził wśród ludzi i w Izraelu: „W tym czasie [na początku świata, op. a.] był On jedynym królem ludzi i sprawował rządy w sposób widzialny. Adamowi wydał rozkaz jaki chciał i powiedział mu pod groźbą jakiej kary winien go przestrzegać. On go wygnał: powiedział mu, że zasłużył na karę śmierci. W sposób widzialny



źródło: pexels.com

opowiedział się na korzyść ofiary Abła, a przeciwko ofercie Kaina. On zganił Kaina z powodu jego zazdrości: kiedy ów nieszczęśnik zabił swojego brata, postawił go przed sądem, przesłuchał go, osądził go z powodu jego zbrodni, a zemstę zachował dla siebie i zakazał ją każdemu innemu; dał Kainowi rodzaj gwarancji, aby go ochronił przed krzywdą ze strony jakiegokolwiek innego człowieka. To wszystko są charakterystyki władzy publicznej. Potem przepisał prawa Noemu i jego dzieciom (...). W podobny sposób prowadził Abrahama, Izaaka i Jakuba. Jawnie sprawował suwerenne rządy nad swoim ludem w pustyni. On był ich królem, ustawodawcą i przywódcą. W sposób widzialny dawał sygnał kiedy rozłożyć

i złożyć obóz, tak samo jak rozkazy wojny i pokoju. Ta władza była kontynuowana w sposób widzialny za Jozuego i pod Sędziami: Bóg ich posyłał; on ich ustanawiał (...). To on ustanawia królów. On namaścił Saula i Dawida przez Samuela; on ustanowił królestwo w domu Dawida i rozkazał mu, aby Salomon rządził jako jego następca. Dlatego tron królów Izraela nazywany jest tronem Boga”.

Argument z władzy ojcowskiej

Tymczasem argument z władzy ojcowskiej opiera się na fakcie, że w rodzinie ojciec sprawuje pełnię władzy nad swoimi dziećmi. Jest to władza absolutna, gdyż niczym ograniczo-

na z wyjątkiem prawa boskiego, a słowo ojcowskie stanowi prawo. Ojciec w rodzinie rządzi ponownie jako namiestnik Boga, gdyż prawdziwym Ojcem każdego człowieka jest Ojciec niebieski. Ziemski ojciec jednak nie bywa wybrany, ani nie może zostać odwołany – jego władza opiera się na prawie natury, a nie na woli i wyborze podległych mu synów i córek. Tak samo jak ojciec jest królem rodziny, król jest też ojcem narodu. Według zwolenników prawa boskiego królów, pierwszym ojcem rodziny, a zarazem i pierwszym władcą, był Adam.

Filmer dalej tłumaczy: „I rzeczywiście nie tylko Adam, ale również kolejni patriarchowie, na podstawie prawa ojcowskiego, sprawowali władzę królewską nad swoimi dziećmi. (...) Tak długo jak żyli pierwsi ojcowie rodzin, tytuł patriarchów naturalnie należał do nich; ale po kilku pokoleniach, kiedy prawdziwe ojcostwo jako takie zniknęło i tylko prawo ojcowskie przechodziło na prawowitego dziedzica, tytuł „książę” albo „król” został tym bardziej znaczący, ponieważ wyrażał władzę tego, który odziedziczył tylko prawo ojcowskie, posiadanego przez jego przodków w sposób naturalny; z tego powodu się zdarzało, że często dziecko, które zostawało następcą króla, posiadało prawo ojcostwa nad mnóstwem swych

głów, oraz posługiwało się tytułem ojca narodu”.

Bossuet natomiast pisze: „Z tego powodu widzimy w Dekalogu, że potem jak [Bóg, op. a.] powiedział: «Będziesz się bał Pana, Boga swego, będziesz mu służył» (Pwt 6, 13), dodaje również: «Czcij ojca twego i matkę swoją, abyś długo żył na ziemi, którą Pan, Bóg twój, da tobie» (Wj 20, 12). Ten rozkaz jest swego rodzaju następstwem posłuszeństwa jakiego winni jesteśmy Bogu, który jest prawdziwym Ojcem. Z tego możemy wywnioskować, że pierwszą świadomością rozkazu i ludzkiej władzy ludzie otrzymują z władzy ojcowskiej”.

Argument biblijny

Chociaż pierwsze dwa argumenty swój punkt oparcia znajdują w Piśmie Świętym, w zakres argumentu biblijnego wchodzi te wszystkie miejsca w Biblii, które w sposób wyrazisty i bezpośredni stanowią oparcie dla doktryny o boskim prawie królów. Bossuet w swoim obszernym dziele przedstawia cały szereg takich miejsc, pełną syntezę Pisma Świętego pod względem nauczania na temat władzy. Na potrzeby tego artykułu przytoczę tylko trzy fragmenty z Nowego Testamentu, na które powoływano się najbardziej, i które stanowią

podstawę nauczania Kościoła o władzy.

Pierwszy spośród nich to słowa samego Jezusa w rozmowie z Piłatem: „Rzekł więc Piłat do Niego: «Nie chcesz mówić ze mną? Czy nie wiesz, że mam władzę uwolnić Ciebie i mam władzę Ciebie ukrzyżować?» Jezus odpowiedział: «Nie miałbyś żadnej władzy nade Mną, gdyby ci jej nie dano z góry». (J 19, 10-11). Tutaj więc sam Jezus Chrystus naucza, że każda władza pochodzi od Boga.

Kolejnym przykładem jest fragment Listu św. Pawła do Rzymian: „Každy niech będzie poddany władzom, sprawującym rządy nad innymi. Nie ma bowiem władzy, która by nie pochodziła od Boga, a te, które są, zostały ustanowione przez Boga. Kto więc przeciwstawia się władzy - przeciwstawia się porządkowi Bożemu. Ci zaś, którzy się przeciwstawili, ściągają na siebie wyrok potępienia. Albowiem rządzący nie są postrachem dla uczynku dobrego, ale dla złego. A chcesz nie bać się władzy? Czyń dobrze, a otrzymasz od niej pochwałę. Jest ona bowiem dla ciebie na rozkaz Boga, [prowadzącym] ku dobremu. Jeżeli jednak czynisz źle, lękaj się, bo nie na próżno nosi miecz. Jest bowiem na rozkaz Boga do wymierzenia sprawiedliwej kary temu, który czyni źle. Należy więc jej się

poddać nie tylko ze względu na karę, ale ze względu na sumienie. Z tego samego też powodu płacicie podatki. Bo ci, którzy się tym zajmują, z woli Boga pełnią swój urząd. Oddajcie każdemu to, mu się należy: komu podatek - podatek, komu cło - cło, komu uległość - uległość, komu cześć - cześć” (Rz 13, 1-7). Święty Paweł więc w sposób wyraźny mówi i rozwija to, o czym Jezus wspomniął przed Piłatem, i stwierdza dosłownie, że każda władza pochodzi od Boga. Tym bardziej jest to znamienne, gdyż te słowa były pisane w latach prześladowania chrześcijan przez ówczesnych władców rzymskich, w tym samego św. Pawła.

Ostatecznie jeszcze należy przytoczyć słowa św. Piotra: „Bądźcie poddani każdej ludzkiej zwierzchności ze względu na Pana: czy to królowi jako mającemu władzę, czy to namiestnikom jako przez niego posłanym celem karania złoczyńców, udzielania zaś pochwały tym, którzy dobrze czynią. Taka bowiem jest wola Boża, abyście przez dobre uczynki zmusili do milczenia niewiedzę ludzi głupich. Jak ludzie wolni [postępujcie], nie jak ci, dla których wolność jest usprawiedliwieniem zła, ale jak niewolnicy Boga. Wszystkich szanujcie, braci miłujcie, Boga się bójcie, czczycie króla!” (1P, 2, 13-17).



źródło: pexels.com

Niektóre poszczególne zasady wywodzące się z omawianej doktryny

Doktryna o boskim prawie królów nie zatrzymuje się na stwierdzeniu faktu, że każda władza pochodzi od Boga. Idzie o krok dalej i próbuje w oparciu o ten podstawowy fakt, wyłożyć całą doktrynę ustroju państwa. Pierwsza zasada jest taka, że najlepszym ustrojem jest monarchia. Filmer znowu o tym dowodzi w oparciu o Pismo Święte: „Bóg zawsze rządził swoim ludem wyłącznie poprzez monarchię. Patriarchowie, Sędziowie i Królowie wszyscy byli monarchami. W całym Piśmie Świętym nie ma wzmianki ani pochwały

dla jakiegokolwiek innej formy władzy”.

Następną kwestią jest rodzaj monarchii. Według zwolenników owej doktryny, powinna ona być dziedziczna i absolutna. Bossuet dowodzi, że najbardziej doskonałym i naturalnym ustrojem jest monarchia dziedziczna, i to według zasady, że władza przechodzi z mężczyzny na mężczyznę, i z najstarszego na najstarszego. Dowodząc, że monarchia dziedziczna jest najbardziej naturalnym, najsilniejszym i najbardziej stabilnym rodzajem władzy, ukazuje na jej trzy podstawowe zalety: 1. trwałość – monarchia sama siebie utrwała poprzez naturalne mechanizmy dziedziczenia; 2. tożsamość in-

teresów państwa i osobistych interesów władcy – ponieważ władzę dziedziczy syn, władca chce zostawić mu królestwo w jak najlepszym stanie; 3. tradycja – godność i umiłowanie rodów panujących jest tym większe i tym bardziej sakralne, im dłuższe jest ich trwanie; 4. jedność – monarchia jest najbardziej odporna na podziały, a powstawanie państw związane jest z pragnieniem jedności, którą najłatwiej osiągnąć pod jednym wspólnym władcą; 5. siła – państwo jest najsilniejsze kiedy ma jasną, hierarchiczną, piramidalną organizację.

Ponieważ zwolennicy doktryny o boskim prawie królów opowiadali się za monarchią

dziedziczną, istnie gardzili monarchią elekcyjną. Bardzo wyraźnie to widać wśród przedstawicieli konserwatyzmu tradycjonalistycznego w XIX w., takich jak Joseph De Maistre i Louis de Bonald. Uważali, że monarchia elekcyjna jest z natury słaba, ponieważ taki monarcha otrzymuje państwo w dzierżawę, tym samym jego własne oraz interesy jego rodziny nie są tożsame z długoterminowymi interesami państwa. Taki władca będzie się starał wykorzystać swoją władzę dla podniesienia prestiżu i bogactwa swojego rodu. W najmniejszym stopniu nie zainteresuje się tym, co zdarzy się z państwem po jego śmierci. Dlatego Louis de Bonald twierdził, że i Rzeczpospolita rozpadłaby się, nawet gdyby nie miała żadnych sąsiadów, ponieważ ustrój w naturalny sposób prowadził ją do ruiny. Jeśli tak silna krytyka dotyczyła monarchii elekcyjnej, wielokrotnie bardziej można by się jej spodziewać w stosunku do ustroju republikańskiego, opartego na kadencyjności (Filmer np. dopuszcza możliwość ustroju demokratycznego tylko na małej przestrzeni, jaką jest miasto).

Według zwolenników owej doktryny, monarchia dziedziczna powinna być również monarchią absolutną, a władza monarsza powinna być ograniczona wyłącznie prawem bo-

skim. Nawet prawo stanowione przez monarchę nie obowiązuje monarchy. I choć Bossuet radzi monarsze, aby starał się przestrzegać stanowionych przez siebie praw (i w ten sposób był wzorem dla ludu), to jedną z podstaw wspomnianego ustroju jest zasada, że monarcha musi znajdować się powyżej wszelkiego prawa stanowionego. Filmer twierdzi, że tak musi być, ponieważ królowie istnieli zanim powstało prawo. Zgodnie z Bossuetem dowodzi, że taka zasada wcale nie prowadzi do tyranii: „Ciała jego poddanych służą mu na wojnie, a ich dobra konieczne są do spełnienia jego potrzeb, i dlatego, jeśli już nie z powodu miłości wobec swojego ludu, to z powodu przyrodzonej miłości dla samego siebie, każdy tyran woli zachować życie i chronić własność swoich poddanych, a tego nie uda mu się osiągnąć jeśli nie kieruje się sprawiedliwością, a jeśli tego nie uczyni, jego strata jest największa; z drugiej strony, w republice każdy wie, że dobro publiczne nie zależy wyłącznie od niego, lecz wspólnotą mogą również kierować inni, a jednostka może zaopiekować się swoim własnym dobrobytem (...). Tak samo jak i w rodzinie, kiedy coś ma zostać zrobione przez wielu słujących, każdy spogląda na innego i pozostawia pracę innemu, dopóki nie zostanie zaniedbana

przez wszystkich”.

Takich i podobnych opinii znajdziemy w omawianej doktrynie wiele. Nie sposób jednak zawrzeć ich w tym artykule. Dotyczą one różnych, mniej lub bardziej szczegółowych elementów proponowanego ustroju państwa i stanowią dogłębnie wypracowaną ideologię. W rzeczywistości jednak ciężko znaleźć przykłady państw w pełni urządzonych według zasad tej doktryny. Na przestrzeni lat funkcjonowały różne jej zasady, ale sam wykład doktryny powstał dopiero w czasach jej zmierzchu. Zaczęto je wówczas kontestować. I chociaż całe średniowiecze oraz duża część nowocześniejszej historii była prześlągnięta podstawowymi prawami tej doktryny, urzeczywistnienie prawdziwie absolutnej chrześcijańskiej monarchii dziedzicznej było prawie niemożliwe. Teoria nie zawsze pokrywa się z praktyką. Natomiast nie da się ukryć, że omawiana doktryna odegrała olbrzymią rolę w historii Europy. Historii nie sposób zrozumieć bez tej świadomości.

Podsumowanie

Na zakończenie kilka słów na temat stosunku Kościoła katolickiego do doktryny o boskim prawie królów. Dość oczywistym wydaje się fakt, że jest ona bliska mentalności chrze-

ścijskiej. Dlatego mogła odegrać ważną rolę w czasach tzw. Christianitas, kiedy Europa była duchowo zjednoczona znakiem krzyża. Wszystkie trzy główne argumenty za doktryną o boskim prawie królów pochodzą z wiary. Jeżeli Pismo Święte i chrześcijańskie pojmowanie Boga nie są czymś powszechnie akceptowanym, to powyższe stwierdzenia nie mają żadnej siły przekonującej. Innymi słowy, nie da się zaimplementować doktryny o boskim prawie królów w świecie zlaicyzowanym. To pokazuje jak gruntowną rewolucję duchową i umysłową przeżył świat od Filmera do Locke'a i od Bossueta do Rousseau.

Należy zwrócić uwagę na jeszcze jeden fakt. Choć doktryna o boskim prawie królów jest bliska chrześcijańskiej mentalności, nie jest ona jedyną doktryną polityczną zainspirowaną wiarą chrześcijańską, a tym bardziej pokrywa się w pełni z nauczaniem Kościoła. Na przestrzeni wieków wielu katolickich myślicieli nie zgadzało się z niektórymi jej elementami. Należą do nich przede wszystkim św. Tomasz z Akwinu, św. Robert Bellarmin oraz Franciszek Suarez. Papież Leon XIII w encyklice Immortale Dei (1885 r.) wskazał wyraźnie, że Kościół katolicki nie opowiada się za żadnym poszczególnym ustrojem politycznym. W każdym



Jacques-Bénigne Bossuet

źródło: wikicommons

ustroju mogą być realizowane chrześcijańskie zasady życia politycznego i społecznego. Natomiast doktryna o boskim prawie królów zawiera podstawową zasadę, nieodłączną od prawd wiary katolickiej, stanowiącą część nauczania Kościoła. Chodzi o pochodzenie władzy, mające źródło u Boga. Wszelkie szczegółowe zagadnienia poruszone w drugim rozdziale niniejszego artykułu, tak jak i wiele innych, mogą zostać pominięte, ale nie liczne wersety Pisma Świętego. Dotyczy to przytoczonych w tym artykule fragmentów z Ewangelii według Świętego Jana, Listu św. Pawła do Rzymian oraz Pierwszego Listu św. Piotra. Taki pogląd podziela szereg ojców Kościoła z pierwszych wieków (np. św. Ambroży, św.

Augustyn, św. Grzegorz Wielki, Tertulian, itd.). O tym również nauczał Kościół na przestrzeni wieków. Potwierdzenie stanowią liczne dokumenty papieskie, encykliki. Boskie pochodzenie władzy to temat, o którym wiele pisano w XIX w., ale który został dość zaniedbany w dzisiejszych czasach. Taka jest konsekwencja wyzwań, z jakimi zmierzył się Kościół w XX w., a które przekierowały jego uwagę na inne zagadnienia. Pomijając ten aspekt nie można jednak mówić o roli katolika w życiu politycznym, bez względu na ustrój państwa. To trudne, złożone i wielowarstwowe zagadnienie, stanowiące wyzwanie dla teologów. Nie należy go pomijać, ale się z nim zmierzyć.





źródło: pixabay.com

W szponach zrównoważonego rozwoju



Konrad Myszkowski

„Na obecnym poziomie cywilizacyjnym możliwy jest rozwój zrównoważony, to jest taki rozwój, w którym potrzeby obecnego pokolenia mogą być zaspokojone bez umniejszania szans przyszłych pokoleń na ich zaspokojenie.” Zdanie otwierające raport Światowej Komisji ds. Środowiska i Rozwoju z 1987 r. stało się w latach późniejszych najważniejszym hasłem związanym z koncepcją zrównoważonego rozwoju, intensywnie forsowaną przez największe organizacje międzynarodowe, na czele z ONZ. Czym jednak jest ta koncepcja, i jakie ma znaczenie dla współczesnego świata?

Doktryna zrównoważonego rozwoju (sustainable development) zakłada – w najprostszej wersji – takie gospodarowanie dostępnymi obecnie zasobami, które umożliwia zaspokojenie potrzeb ludzi żyjących współcześnie i nie wiąże się z ryzykiem braku możliwości zaspokojenia potrzeb przyszłych

pokoleń. Osiągnięcie takiej sytuacji na całym świecie jest obecnie uznawane za cel najbardziej wpływowych organizacji międzynarodowych, a jego realizacją zajmuje się przede wszystkim United Nations Development Programme, czyli specjalnie powołana agenda ONZ. To właśnie UNDP jest od-

powiedzialna za realizację tzw. Agendy 2030 - dokumentu zawierającego 17 celów w ramach zrównoważonego rozwoju oraz 169 konkretniejszych, bardziej mierzalnych zadań, których realizacja jest planowana do roku 2030. W preambule dokumentu, przyjętego rezolucją Zgromadzenia Ogólnego ONZ

we wrześniu 2015 r. czytamy: „Widzimy świat, w którym panuje powszechne poszanowanie praw człowieka i godności ludzkiej, praworządności, sprawiedliwości, równości oraz brak dyskryminacji, niezależnie od rasy, pochodzenia etnicznego i różnorodności kulturowej; i w którym istnieją równe szanse, umożliwiające pełne wykorzystanie potencjału ludzkiego i przyczyniające się do budowania wspólnego dobrobytu”.

Uszczęśliwić na siłę

O co jednak tak naprawdę chodzi, a przede wszystkim – dlaczego zrównoważony rozwój jest często uznawany za ideologię nie do pogodzenia z nauczaniem Kościoła? Pewnych wskazówek może dostarczyć już lektura niektórych spośród siedemnastu celów zawartych w „Agendzie 2030.” Mamy tam piękne i bardzo ogólne hasła, w których uważny czytelnik dostrzeże możliwość różnorodnych interpretacji, ale również takie, które po głębszym zastanowieniu same w sobie są groźne. Uwagę mogą zwrócić np. punkty 10. i 12. (Zmniejszenie nierówności w krajach i między krajami, Zapewnienie wzorców zrównoważonej konsumpcji i produkcji), od których wyraźnie czuć powiew nienaturalnego egalitaryzmu. „Równość” co najmniej

od czasów rewolucji antyfrancuskiej jest stosowana jako słowo-wytrych przez rozmaitych ideologów i inżynierów społecznych, którym zdrowa hierarchia zwyczajnie przeszkadza; w końcu ludźmi przekonanymi o własnej „równości”, znacznie łatwiej się rządzi. Należy również wspomnieć, że ta nienaturalność z życia społecznego przechodzi do rzeczywistości życia rodzinnego, dając negatywne wzorce relacji pomiędzy małżonkami, a także na linii rodzic-dziecko. W tej sferze niebezpieczny wydaje się również punkt piąty – „Osiąganie równości płci oraz wzmocnienie pozycji kobiet i dziewcząt” – który zdaje się sugerować równanie obu płci niejako „na siłę”, zapominając o tym, że zarówno kobiety, jak i mężczyźni posiadają odmienne predyspozycje i role w społeczeństwie. Na koniec lektury samych siedemnastu celów zwrócę jeszcze uwagę na ostatni z nich: „Wzmocnienie środków wdrażania i ożywienie globalnego partnerstwa na rzecz zrównoważonego rozwoju.” Czy tylko ja widzę tu ciche przyzwolenie na implementację zrównoważonego rozwoju za wszelką cenę – również pod przymusem? Jak pokazuje historia, takie „uszczęśliwianie na siłę” raczej nie kończy się dobrze.

Nieco większego pola do analizy dostarcza lektura zadań,

przyporządkowanych do poszczególnych punktów. Tu szczególną uwagę przyciągają punkty 3.7. (Do 2030 roku zapewnić powszechny dostęp do świadczeń z zakresu zdrowia seksualnego i prokreacyjnego, w tym planowania rodziny, informacji i edukacji, oraz włączyć zdrowie prokreacyjne do krajowych strategii i programów) oraz 5.6. (Zapewnić powszechny dostęp do ochrony zdrowia seksualnego i prokreacyjnego oraz korzystanie z praw prokreacyjnych). „Agenda 2030” nie definiuje zakresu zdrowia prokreacyjnego, które jest w tym punkcie pojęciem kluczowym. Nie jest to jednak dziwne, gdyż jego definicja od ponad 25-ciu lat jest powodem gorących dyskusji, w trakcie których coraz częściej forsuje się zawarcie w nim szerokiego prawa do aborcji oraz antykoncepcji. „Agenda 2030” w punkcie 5.6. powołuje się na „Program działań międzynarodowej konferencji na rzecz ludności i rozwoju, czyli dokument końcowy wspomnianej konferencji, która odbyła się w r. 1994 w Kairze.” Wskutek zdecydowanego stanowiska kilku krajów, a przede wszystkim Stolicy Apostolskiej, w Programie Działań pojawiło się m.in. stwierdzenie, iż aborcja w żadnym wypadku nie może być promowana jako forma planowania rodziny, a sama aborcja nie jest uznawa-

na za jedno z praw reprodukcyjnych. Nie przeszkadza to jednak agendum ONZ we wprowadzaniu aborcji „tylnymi drzwiami” - niechlubną rolę odgrywa tu UNFPA (United Nations Population Fund). W opublikowanym przez tę agendę dokumencie „Operational Guidance for Comprehensive Sexuality Education” znajdziemy m.in. liczne odwołania i zachęty do korzystania ze skandalicznego podręcznika „It’s All One Curriculum: Guidelines and Activities for a Unified Approach to Sexuality, Gender, HIV, and Human Rights Education”, wydanego w 2009 przez Population Council. W „It’s All One Curriculum”, będącym w istocie rozbudowaną instrukcją dot. seksualno-światopoglądowej indoktrynacji dzieci i młodzieży, czytamy m.in. że „Na całym świecie obrońcy praw reprodukcyjnych walczą m.in. o lepszą edukację seksualną, promocję równości genderowej, eliminację praw kryminalizujących stosunki pomiędzy osobami tej samej płci czy zwiększenie dostępności do świadczeń z zakresu zdrowia reprodukcyjnego, takich, jak antykoncepcja czy bezpieczna i legalna aborcja” (s. 111); z kolei na stronie 152. dowiadujemy się, że prawa ograniczające dostęp do aborcji czy antykoncepcji są barierą w podejmowaniu decyzji. W powyższym świetle teza, iż elementem

zrównoważonego rozwoju jest w rzeczywistości propagowanie ultralewicowego rozumienia ludzkiej seksualności i moralności, wydaje się być uprawniona.

Niebezpiecznie wygląda również punkt 4.7: Do 2030 roku zapewnić, że wszyscy uczący się przyswoją wiedzę i nabędą umiejętności potrzebne do promowania zrównoważonego rozwoju, w tym między innymi, poprzez edukację na

promowanie – a więc, przede wszystkim, przyjęcie. Dokument nie przewiduje możliwości odrzucenia doktryny, co więcej nie widzi w edukacji miejsca na odkrywanie prawdy, porównywanie różnych systemów czy samodzielnego myślenia; w zamyśle jego twórców młodzi ludzie z całego świata nie mają być uczeni zrównoważonego rozwoju, ale indoktrynowani. Oczywiście, wśród wielu pięknie brzmiących



źródło: pixabay.com

rzecz zrównoważonego rozwoju i zrównoważonego stylu życia, praw człowieka, równości płci, promowania kultury pokoju i niestosowania przemocy, globalnego obywatelstwa oraz docenienia różnorodności kulturowej i wkładu kultury w zrównoważony rozwój. Tłumacząc z politycznego na nasze oznacza to, że dzieci i młodzież mają się nie tylko uczyć założeń zrównoważonego rozwoju, ale efektem tej nauki ma być jego

hasła pojawia się równość płci, będące tłumaczeniem użytego w oryginalnym angielskim tekście sformułowania „gender equality.” Mamy tu więc ukrytą furtkę do narzucania od najmłodszych lat ideologii gender wraz z akceptacją wszelkiej maści dewiacji i całkowitym zerwaniem z tradycyjną moralnością, o propagandzie feministycznej nie wspominając. Obawy związane z użyciem tego wyrażenia potwierdza wydany przez WHO

„Standards for Sexuality Education in Europe” – dokument tyle smutny, co przerażający, na którego 15-stej stronie przeczytamy m.in. że „szeroko zakrojone badania pokazały, że (...) nauczanie typu ‘tylko abstynencja’ [do ślubu] nie przyniosło pozytywnych efektów w dziedzinie zachowań seksualnych czy ryzyka nastoletnich ciąż, podczas gdy odmienne podejście [z uwzględnieniem antykoncepcji i metod ‚bezpiecznego seksu’] takie efekty przyniosły”. Nic więc dziwnego, że dokument zachęca do uczenia dzieci w wieku 4-6 lat (sic!) o różnych rodzajach rodzin (w tym relacjach między osobami tej samej płci), a dzieci w wieku 6-9 lat m.in. o różnych metodach antykoncepcji czy odczuwaniu przyjemności podczas dotykania własnego ciała (samogwałtu).

Na rzecz ludzi, planety i dobrobytu

Szczególnie ważną dla katolika kwestią jest stanowisko w omawianej sprawie papieża Franciszka. Faktem jest, iż Ojciec Święty uczestniczył w sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ we wrześniu 2015 r., podczas której przyjęto Agendę 2030, a sam dokument nazwał „ważnym znakiem nadziei”. Poparcie przynajmniej dla części postulatów zrównoważonego

rozwoju pokazują również jego dokumenty – najsłynniejszym tego przykładem jest encyklika Laudato Si, poświęcona problematyce ochrony środowiska. Obok licznych nawiązań i cytatów z dokumentów ONZ – szczególnie Deklaracji z Rio – znajdziemy w niej m.in. stwierdzenie, iż „Nagłące wyzwanie ochrony naszego wspólnego domu obejmuje troskę o zjednoczenie całej rodziny ludzkiej w dążeniu do zrównoważonego i zintegrowanego rozwoju, ponieważ wiemy, że wszystko może się zmienić”. Mniej analogii z postulatami zrównoważonego rozwoju możemy dopatrzeć się w wydanej niedawno konstytucji Veritatis Gaudium, poświęconej organizacji pracy uniwersytetów papieskich. Dokument

jako pierwszy w historii zezwala na prowadzenie zajęć na uznanych przez Watykan uczelniach przez niekatolików, a nawet niechrześcijan, a także wzywa do utworzenia na nich specjalnych ośrodków zajmujących się badaniem „epokowych problemów dotyczących ludzkość dzisiaj”. Warto również wspomnieć o słynnej adhortacji „Amoris Laetitia”, zawierającej obszerny rozdział poświęcony edukacji seksualnej. Papież skrytykował w nim lewicowe rozwiązania w tej materii (m.in. takie, jak w omawianych wyżej dokumentach WHO i Population Council), jednocześnie popierając samą koncepcję wprowadzania obowiązkowej edukacji seksualnej dla młodzieży w szkołach. Stoi to w zgodzie z uwagami wobec



źródło: pexels.com



źródło: unsplash.com

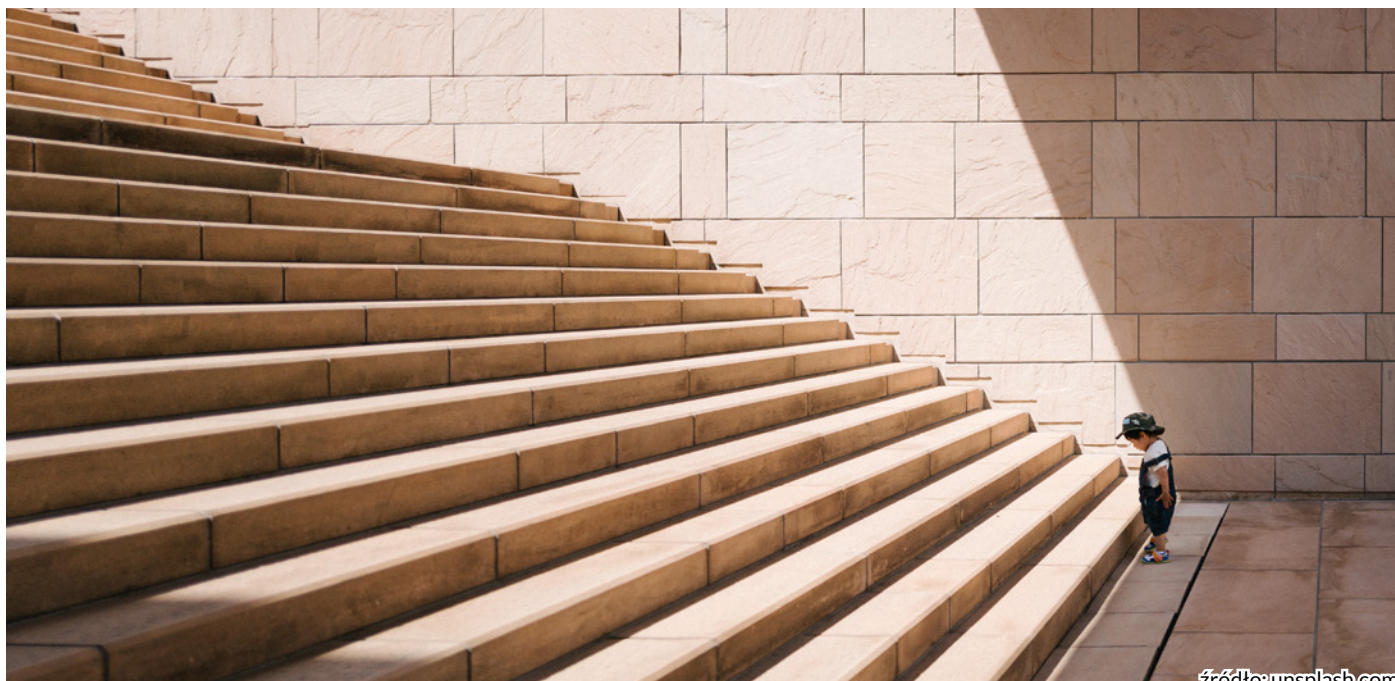
„Agendy 2030”, zgłoszonymi przez Stolicę Apostolską na dwa tygodnie przed jej uchwaleniem: „płeć” ma być rozumiana w sposób biologiczny, aborcja nie ma wchodzić w skład „praw reprodukcyjnych”, a edukacja seksualna nie może być prowadzona wbrew woli rodziców i uderzać w ich przekonania religijne. Delegacja Watykanu poparła jednocześnie główny cel Agendy, jakim ma być „zapewnienie wolności i godnego życia każdemu mieszkańcowi naszej planety”.

Czy jednak rzeczywiście jest to główny cel „Agendy”? W preambule dokumentu czytamy, że dokument jest planem działań na rzecz ludzi, naszej planety i dobrobytu. Rzeczywiście, ubóstwo, głód czy pewna niesprawiedliwość społeczna są realnymi i poważnymi proble-

mami i należy dołożyć starań, aby eliminować je w takim stopniu, w jakim jest to możliwe. Pojawiają się jednak dwa pytania: po pierwsze – czy rozwiązaniem wszystkich problemów świata może być 40-stronicowy dokument oraz wynikające z jego postanowień działania polityczne, po drugie – czy analizowane wyżej lewicowe rozwiązania rzeczywiście mają szansę się sprawdzić? Co do pierwszego – poprawa świata na lepszy jest oczywiście wykonalna, ale jakkolwiek postęp w tym kierunku jest możliwy tylko pod warunkiem zmiany nastawienia zwykłych ludzi. „Agenda 2030” postuluje przede wszystkim działania polityczne – wprowadzanie konkretnych praw, budowę instytucji etc., które mają być wspomagane nie

powiększaniem świadomości społeczeństw, ale – co wykazaliśmy uprzednio – propagowaniem jedynie słusznej doktryny zrównoważonego rozwoju. Jeśli jednak działania podejmowane przez władze nie będą szły w parze z rozwojem moralno-kulturowym społeczeństw to nie doprowadzą do poprawy sytuacji, ale zaognienia konfliktów, a najczęściej także ograniczania wolności jednostek. Mamy więc jednocześnie odpowiedź na drugie pytanie – system pozbawiony troski o moralność i dążenie do prawdy, a więc pozbawiony odniesień do Boga – będzie zawsze groźną ideologią, prowadzącą do zniewolenia człowieka.

Dodatkowo zauważmy, że wg omawianego wcześniej punktu 4.7. dzieci mają odbierać edukację na rzecz „globalnego obywatelstwa”. Pojęcie to jest kolejnym „wytrychem”, pozwalającym na przemycanie różnego rodzaju postaw kosmopolitycznych i zwalczania tradycyjnego pojęcia narodu. Nieco światła na jego rozumienie rzuca zadanie 10.2: „Do 2030 roku umożliwić i promować uczestnictwo w życiu społecznym, gospodarczym i politycznym wszystkich ludzi, bez względu na wiek, płeć, niepełnosprawność, rasę, pochodzenie etniczne, narodowość, religię, status ekonomiczny bądź inne czynniki”. Nie sposób nie dostrzec



źródło: unsplash.com

tu przede wszystkim furtki dla akceptacji w życiu publicznym miejsca dla osób o dosłownie dowolnych poglądach i systemach wartości. Skutki takiej nieograniczonej tolerancji możemy oglądać już współcześnie – należy do nich przede wszystkim zamieszanie, sprzyjające rozmyciu podstawowych pojęć i wyparciu prawdy przez szalone, a niejednokrotnie i groźne koncepcje. Równie niebezpieczne, co utopijne jest dążenie do równości religii. Zrównanie Prawdy z innymi systemami wierzeń jest obelgą wymierzoną w wiarę katolicką. Dążenie do równości religii jest więc w istocie dążeniem do osłabienia religijności społeczeństw w ogóle, a w szczególności – do osłabienia Kościoła Katolickiego. Dodatkowo warto zauważyć, w jak wielu miejscach „Agenda 2030” postuluje oddanie kompetencji władz państw-sygnatariuszy w ręce agend

ONZ, co stanowi naruszenie ich suwerenności. Wpływowym miliarder David Rockefeller już w 1994 r. za największe zagrożenie ludzkości uznał wzrost liczby ludności, wzywając do depopulacji oraz zastąpienia władzy państwowej globalnym rządem i dodając: „pragnę aby narody się zjednoczyły w powstrzymaniu wzrostu populacji ludzkości”. Faktem jest również, iż zrównoważony rozwój zyskuje czynne (i hojne) poparcie takich ludzi, jak np. Rockefellerowie (nota bene założyciele wspomnianej „Population Council”), rodzina Rotschildów czy George Soros. Czy mamy zatem do czynienia z narzędziem służącym interesom najpotężniejszych tego świata, pomagającym im w stawianiu się jeszcze potężniejszymi?

Warto zauważyć, że dążenia do uzyskania zawsze i wszędzie potęgi na tym świecie są sprzeczne

z nauką Kościoła Katolickiego – strażnika prawdy i moralności. Przestanie o godności każdego człowieka, stworzonego na obraz i podobieństwo Boże skutecznie zapobiega wszelkim formom zniewolenia. Z kolei nauka o istnieniu jednej prawdy i jednej moralności jest nie do pogodzenia z relatywizowaniem pojęć i dostosowywaniem prawa w zależności od aktualnych interesów. Nic zatem dziwnego, że również ideologia zrównoważonego rozwoju jest w wielu punktach wymierzona w Kościół. Przede wszystkim doktryna jest kreowana na nową współczesną religię – obowiązkowy zestaw wierzeń „nowoczesnego” człowieka. Sztucznie tworzone są dogmaty – stwierdzenia takie, jak np. wyższość demokracji nad wszystkimi innymi ustrojami, konieczność wprowadzenia bezwarunkowej równości czy niepohamowanej

wolności słowa są przyjmowane za prawdy objawione, a wszelkie próby dyskusji z automatu klasyfikowane jako „zacofane” lub niebezpieczne. Sztucznie tworzona jest również moralność, ponieważ o tym co dobre a co złe mają decydować ideologicznie zrównoważonego rozwoju.

Jeżeli Pan domu nie zbuduje

Jakie zatem wnioski płyną z tych wszystkich faktów dla zwyczajnego katolika? Myślę, że powinniśmy nie bać się zrównoważonego rozwoju, świadomie oceniać jego założenia oraz ufać Chrystusowi, że zgodnie ze Swoimi słowami przeprowadzi Swoją Kościół również przez to zamieszanie i „bramy piekielne Go nie przemogą” (Mt 16,18). Przede wszystkim zaś musimy się gorąco modlić – za Kościół, ale także za przedstawicieli władz poszczególnych państw i organizacji międzynarodowych. Błagajmy Boga o pokorę, wytrwałość w obronie wiary i Kościoła dla papieża, kardynałów i biskupów, a także dla świeckich katolików z całego świata. Nie zapominajmy jednak również o zwierzchnikach państw, wysokich urzędnikach ONZ oraz usilnie starających się na nich wpływać miliarderach. Pamiętajmy, że to również są ludzie, więc jeśli nasza modlitwa

wyjedna któremuś z nich łaskę pokory i nawrócenia to będzie to nie tylko korzystne dla świata i Kościoła, ale również jego samego skieruje na drogę wiodącą ku zbawieniu.

Poza tym pamiętajmy o tym, że tak naprawdę mamy już uniwersalne zasady, których przestrzeganie zawsze zmienia świat na lepsze. To mądrość Ewangelii, wyrażona w moralnych nakazach Kościoła Katolickiego oraz katolickiej nauce społecznej. Jak bowiem zauważył w encyklice „Immortale Dei” papież Leon XIII: „Słuszność i rozum zabraniają państwu być ateistycznym lub, co by na jedno wyszło, być odnośnie do wszystkich wyznań, jak to mówią, jednakowo usposobionym i wszystkim, bez różnicy, przyznawać jednakowe prawa. Skoro żyjąc w społeczeństwie konieczną jest rzeczą wyznawać jakąś religię, to trzeba wyznawać tę, która jedynie jest prawdziwa i którą przynajmniej w krajach katolickich rozpoznaje się bez trudu po wybitnych znamionach prawdy. Zwierzchnicy państw tę religię powinni zachowywać i bronić, jeżeli pragną – co zresztą jest ich obowiązkiem – służyć mądrze i pożytecznie sprawom społeczeństwa.” Czy ludzie mogą stworzyć projekt mądrzejszy i bardziej sprawiedliwy, niż zasady nadane przez samego Boga, będącego źródłem wszel-

kiej Mądrości i Sprawiedliwości? Kiedy myślę o „zrównoważonym rozwoju”, zawsze w pewnym momencie staje mi przed oczami biblijny obraz wieży Babel. Czyż urzędnicy ONZ i popierający ich potentaci nie robią dokładnie tego samego – próbują stworzyć świat na własną modłę, stawiając siebie w miejscu Boga i kreując własne prawa w miejsce Bożych Praw?

Myślę, że najlepszym podsumowaniem powyższych rozważań będzie wyjątek z encykliki „Nostra Charge Apostolique” św. Piusa X: „Należy z całą mocą powtórzyć w tych czasach społecznej i intelektualnej anarchii, gdy każdy sam siebie ustanawia nauczycielem i prawodawcą – społeczeństwo nie będzie zbudowane inaczej niż Bóg to uczynił. Społeczeństwo nie będzie zbudowane, o ile Kościół nie położy fundamentów i nie będzie kierował budową. Nie. Cywilizacji nie trzeba powtórnie odkrywać, nie trzeba budować nowego społeczeństwa na obłokach. To zostało już dokonane. Jest nim chrześcijańska cywilizacja i katolickie społeczeństwo. Należy je tylko ustanawiać i bezustannie przywracać, w oparciu o naturalne i boskie podwaliny, przeciwko wciąż odradzającym się atakom niezdrowych utopii, buntów i bezbożności.”



źródło:unsplash.com

Natchniony rycerz



Szymon Kozieja

Jak często spotykamy się z sentymentem do czasu minionego. Krótkie zdanie “Kiedyś to było” sygnalizuje, że nadchodzi właśnie sentymentalna podróż w przeszłość. Najczęściej kończy się ona jednak na czasach w których nadawca żył. Inaczej ma to do siebie z momentami, kiedy ktoś sięga jeszcze dalej w czasy minione. Z dużym sentymentem traktuje się czasy średniowiecza, a w szczególności obraz rycerza. Wynika to jednak z pewnej głębszej potrzeby niż tylko ponarzekać na zastaną sytuację.

Dwa współczesne freski średniowiecza

Dziś w świadomości społecznej istnieją dwa obrazy średniowiecza, które bardzo ze sobą kontrastują.

Część ludzi widzi te czasy

jako smutne i mroczne, podczas których w miastach zaraza goniła zarazę, a chrześcijański zamordyzm palił na stosach każdy przejaw rozumu sprzeciwiający się ciemnocie i zabobonowi. Na ulicach i w kościołach wznoszono były fanatyczne kazania nad-

gorliwych kaznodziejów, a obok słyszało się kolejne razy biczów pokutników. Po lochach zaś jeźdźcy setki głosów niewinnych ludzi. Iście ciemne wieki!

Jest także drugi obraz – średniowiecza bez skazy. Widzimy w nim piękne kolorowe stroje

bohaterskich rycerzy, gotowych w każdej chwili oddać życie swojej precudownej damie serca. Widzimy rozważnego króla, który potrafi w porę zapobiec jakiejś wielkiej tragedii oraz mądrego mnicha/kapłana/pustelnika, który zawsze da przełomową radę życiową.

Jak nietrudno się domyślić, oba obrazy są tylko i wyłącznie naszymi wyobrażeniami na temat tych czasów. Prawda historyczna ma to do siebie, że jest bardzo skomplikowana, a nauka, jaką jest historia, wymaga ogromnej pokory wobec niej. Bardzo łatwo można wyrwać fragment przeszłej rzeczywistości i przedstawić go jako pewną tendencję danego okresu.

Płonąca czarownica

Pierwszy obraz może mieć wiele swoich źródeł. Można jednak odczuć, że kryje się za nim jakieś uprzedzenie, niewiedza powtarzana w różnych filmach, bądź książkach oraz innych tekstach kultury. Ważnym elementem tego jest tworzenie przez pryzmat obserwacji z czasów autorowi współczesnych. Przykładem na to może być Siódma Pieczęć Bergmana, który mimo swoich walorów artystycznych powtarza stereotypy o średniowieczu. Film powstał w połowie lat 50. XX wieku, a jego akcja jest umiejscowiona w połowie

XIV wieku w Szwecji. Tak naprawdę zaraza jaka przewija się przez film łączy się z poczuciem strachu przed wojną nuklearną. W obliczu tragedii ludzie przyjmują różne postawy – jedni oddają się pokucie, a inni wręcz przeciwnie. Obraz biczujących się ludzi śpiewających Dies Irae, powracającego z wyprawy krzyżowej rycerza Antoniusa Blocka, spalenie czarownicy, płomienne kazania podsycające nastroje, kontrastują z różnymi okrutnymi rozrywkami gawiedzi oraz przedstawieniami wędrownych aktorów trafiającymi w gusta pospólstwa.

W swoim tekście T. Tomasik pt. "Czy Siódma pieczęć jest filmem o średniowieczu?" pisze:

"Tych nawiązań do średniowiecza i motywów charakterystycznych dla tej epoki nie jest w całym filmie mało, niemniej jednak, jak się bliżej temu przyjrzyć, średniowiecze zostało tutaj potraktowane dość umownie, zgodnie ze stereotypem, co więcej, łatwo można wskazać historyczne nieścisłości. Biczownicy nigdy nie pojawili się w Szwecji, chociaż ich działalność nasiliła się w niektórych regionach Europy w połowie XIV wieku w okresie „czarnej śmierci”. Personifikacje Śmierci upowszechniły się w Europie Zachodniej dopiero pod koniec XV wieku. W tym

samym stuleciu żył malarz Albertus Pictor, którego rycerz i giermek spotykają w kościele, a zatem nie mogli oni powracać z krucjaty do Ziemi Świętej, bo te zakończyły się pod koniec XIII wieku".

Rycerz na białym koniu w lśniącej zbroi

Drugi przeciwstawny obraz wykreowały dwie rzeczy. Jedną jest tęsknota za czasami, gdzie konkretny kanon wartości był niewzruszony, a dane słowo miało wielkie znaczenie, a druga to średniowiecze same w swojej kulturze. Średniowiecze dążyło do ideału w swojej sztuce. Chciało ukazywać dobro, prawdę, piękno. Widzimy to w prawie każdej możliwej dziedzinie ówczesnej kultury. Nawet coś



źródło: wikicommons.com



takiego jak kronikarstwo zmienia się w dążenie do pouczenia o przeszłości i jasnego pokazania, jakie postawy są dobre i poprawne. Dobrze obrazują to Mike Aquilina i Christopher Bailey w swojej książce *Tajemnica Graala*, która przedstawia różne warianty średniowiecznych legend arturiańskich. Zwracają oni uwagę na to, że za opowieściami o świętym Graalu stoi głęboko zakorzeniona w człowieku potrzeba duchowości, co znajduje swoje odbicie w licznych alegoriach, czyli w przenośniach, obrazowo i głównie jednoznacznie. W tym przypadku autorzy wskazują, że prawdziwym skarbem Graala jest Eucharystia. Kielich zapewniający życie wieczne – czyż katolikowi nie brzmi to znajomo? Odwołują się oni do tekstów, które nie są niestety przełożone na język polski,

albo są bardzo trudno dostępne. Dlatego obraz tych legend, jaki przedstawia, jest bardziej pogłębiony, niż inne dostępne polskojęzycznemu czytelnikowi. Przede wszystkim Warto też przyjrzeć się poszukiwaniu Graala w filmie Stevena Spielberga *Indiana Jones i ostatnia krucjata*. W scenie szczytowej widzimy postawę rycerza, który przez setki lat związany przysięgą strzegł kielicha Mesjasza, do którego dotrzeć można było po próbach mających zaświadczyć o czystości serca i zamiarów.

Wyidealizowany obraz średniowiecza jest jednak bliższy prawdy niż ten pierwszy. Jest on odbiciem ideowym tego okresu. Musimy być świadomi, że człowiek przez swoje słabości potrafi nawet najszlachetniejsze ideały zniszczyć i zaprzedać. Warto jednak brać przykład z ideałów

tego okresu, ponieważ epoka ta ma wiele wspaniałych wzorców do naśladowania.

Rycerz z tabletem

Możne się pojawić u nas myśl, że to już bezpowrotnie minęło i więcej nie powróci. Czy współcześnie nie potrzebujemy także ideałów rycerskich? Czym jest dziś obraz mężczyzny? Niektórzy przyjmują postawę, że prawdziwy mężczyzna to rosty chłop z siłowni, który może „każdego skasować i zaliczyć każdą dobrą laskę”. Inni zaś przyjmują za pożądany obraz człowieka sukcesu. Najlepiej biznesmena – dobrym przykładem jest rozpopularyzowana dziś seria o Greyu. Uważam jednak, że istnieje inna, lepsza droga. Rycerska postawa może być dziś na wagę złota.

Bardzo ważnym elementem literatury średniowiecznej jest motyw podróży w jakimś celu, podczas której bohater przeżywa wewnętrzne przemiany. Występuje on w wielu legendach i romansach rycerskich. Zwykle taki człowiek dojrzewa i staje się bliższy etosowi rycerskiemu, który miał swoje korzenie już w archaicznej Grecji oraz w etosie wojowników Germanii. Od końca XI wieku zaczął on się kształtować coraz bardziej przy udziale Kościoła. Pierwotnie wśród rycerstwa dominowała pochwała brutalnej siły fizycznej, odwagi. Wiara chrześcijańska ubogaciła go o miłość wobec Boga, poszanowanie chrześcijan i o wartość obrony słabszych, pogardę dla zbytku – a co za tym idzie – hojność. Kolejną rzeczą kształtującą go była literatura rycerska trubadurów i truwerów, którzy włączyli w niego wartości takie jak miłość i roztropność.

Polski mediewista D. Piwoarczyk na podstawie polskiego przykładu rycerza Zawiszy Czarnego wyróżnia siedem cnót rycerskich: wierność (*fidelitas*), pobożność (*pietas*), męstwo (*virtus*), roztropność (*prudencia*), dworność (*curiositas*), hojność (*largitas*) i honor. Warto to przyrównać do siedmiu darów Ducha Świętego: mądrości, rozumu, umiejętności, rady, męstwa, pobożności, bojaźni Bożej.



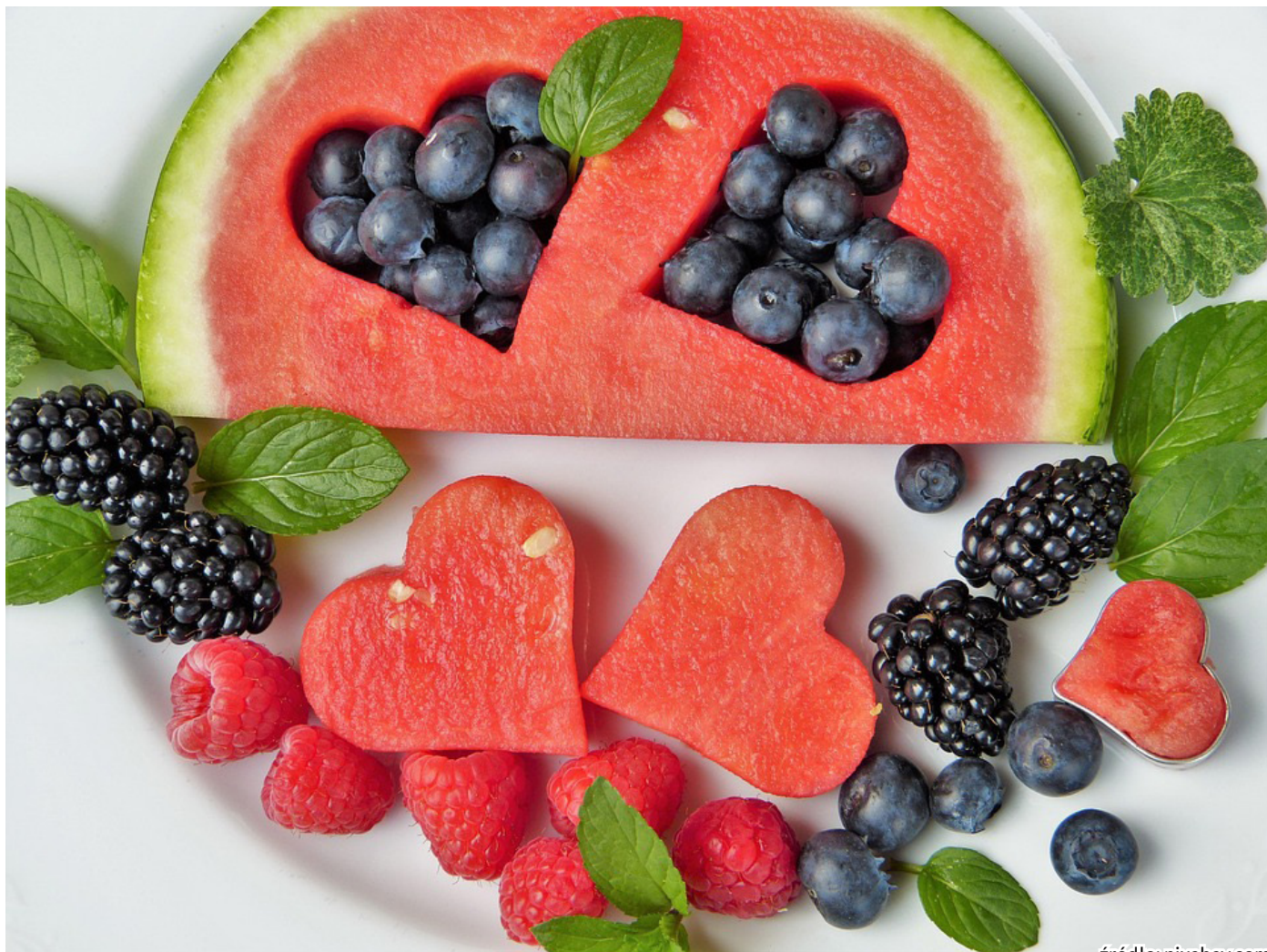
Źródło: pixabay.com

Obraz mężczyzny postępującego według tych zasad jest bardzo ciekawy. Z jednej strony nie odrzuca on gotowości do walki, ale nie stawia brutalnej siły ponad cnotami i dobrocią. Ważne w działaniu jest kierowaniem się mądrością i rozumem – w szczególności w życiowych decyzjach i w wyborze idei, jakiej jest się wiernym. Szacunek okazywany kobietom jest dziś ważny i pożądany. XXI wiek okropnie uprzedmiotowił kobiety, co ma bardzo negatywne skutki. Uprzedmiotowienie to prowadzi kobiety do przyjęcia dwóch postaw: pogodzenia się z tym i buntu wobec tego. Bunt ten często miesza się ze smutkiem, doznana krzywdą – jest to kolejne poranienie w życiu. Podobnie postawa wobec ludzi ubogich i mających problemy; zamiast budzenia chęci hojności, prowadzi do wyśmiewania, albo oceniania tych osób, co jeszcze pogłębia ich tragedię. Źródłem tego może być brak

bojaźni Bożej i pobożności. Warto pochylić się nad pierwszym listem św. Jana: "Jeśli by ktoś mówił: »Miłuję Boga«, a brata swego nienawidził, jest kłamcą, albowiem kto nie miłuje brata swego, którego widzi, nie może miłować Boga, którego nie widzi" (1 J 4, 20). Źródłem tego też może być... brak dworności! Dziś można to rozumieć jak kulturalne zachowanie, a w tym przypadku jego brak.

Krzyż na drodze

Nie ma co jednak jak mantrę powtarzać: "kiedyś to było!", tylko skupić się na tym, co jest tu i teraz. Warto jednak spojrzeć w przeszłość i tam odkryć wzorce osobowe. Czytać literaturę, która ubogaci nasze życie, a nie będzie tylko kolejną ciekawą powieścią. Nie zapominając przy tym, że trzeba podchodzić do historii z szacunkiem i pokorą.



źródło: pixabay.com

Coś dla ciała i dla ducha, czyli o poście Daniela słów kilka



Nina Kogut

Wielki Post już za nami. Teraz z pewnością będziemy myśleć, jak zrzucić parę kilogramów nabytych podczas świątecznych uczt. Niektórzy powiedzieliby zapewne „No i na co był nam ten post, skoro teraz znowu możemy się objadać?”. Pojmowanie postu przez współczesnego człowieka znacznie różni się od pojmowania tegoż przez mieszkańca chociażby średniowiecznej Europy. Poszczono zazwyczaj od produktów ekskluzywnych, których i tak było niewiele, więc nie odczuwano aż tak ich braku. Obecnie, w dobie względnie powszechnego dobrobytu, poszczenie kojarzone jest często z... dietą.

Czy takie podejście jest właściwe, czy nie, tym nie zamierzam się teraz zajmować. Post może być bowiem zarówno od-

mawianiem sobie jedzenia, jak i złych nawyków, które oddalają nas od Boga bądź też marnują nasz cenny czas. Wielki Post to

czas oczyszczenia i zadumy, który dość często sprowadzany jest do okazji do rozpoczęcia diety. Jak się jednak okazuje, te dwie

rzeczy nie muszą się wzajemnie wykluczać. Dowodem na to jest post Daniela, o którym będzie niniejszy artykuł. Czym dokładnie jest post Daniela? Mówi się o nim jako oczyszczającym ciało i duszę. Z początku brzmi to co najmniej dziwnie. Jednak jego źródła można doszukiwać się w Piśmie Świętym, w Księdze Daniela, gdzie napisano: „Podдай slugi twoje dziesiedniowej pr6bie: niech nam daja jarzyny do jedzenia i wodę do picia (...). A po uplywie dziesiedciu dni wyglad ich byl lepszy i zdrowszy niz innych mlodzienc6w, ktorzy spozywali potrawy krolewskie” (Dn 1,12-15).

Aby nie wrywać fragmentu słowa Bożego z kontekstu, pokr6tkie opowiem, c6ż takiego się wtedy wydarzyło. Kr6l Nabuchodonozor II, który oblegał Judeę, wziął do siebie mlodzienc6w o pieknym wygladzie i obeznanych w pismach, aby sluzyli na jego dworze. Mieli się szkolic przez 3 lata, by potem objac sluzbę. Mieli do dyspozycji określone porcje krolewskiego jadła i wina. Wśród mlodzienc6w był także Daniel, który nie chiał kałac się babilońskim jedzeniem. On i trzech innych mlodzienc6w przez 10 dni spozywali tylko warzywa i wodę, a ich wyglad był lepszy od wygladu mlodych, ktorzy zywili się jedzeniem od kr6la. B6g zaś wynagrodził ich poglady i trud, obdarzając ich

r6żnymi umiejtnościami – Daniel na przyklad potrafil od tej pory wyjasnial sny.

Co trzeba wiedziec?

Nie trzeba byc ekspertem, by wiedziec, jak bardzo przetworzona jest dzisiejsza zywnosc. Post Daniela jest zatem kuracja oczyszczajaca ciało z toksyn. Ma byc czasem wyciszenia i odcienienia się od swiata (istnieja r6żne warianty co do dlugosci postu, na kazdy dzien mozna przeznaczym jakies rozważania oraz ofiarowac sw6j post). Tak jak w Księdze Daniela, poszczacy spozywac moze jedynie owoce i warzywa, najlepiej kiszonki. Ješli chodzi o napoje, najlepsza jest oczywiscie czysta, niegazowana woda, ale dopuszczalna jest także herbat zielona, owocowa i ziolowa. Z uwagi na wyjatkowo mala ilosc kalorii dostarczanych organizmowi (ok. 800 dziennie), post nie jest zalecany min. dla kobiet w ciazy i karmiacych, dziewczat w okresie dojrzewania, anemi6w itp. Chorujacy na te i inne dolegliwosci, ktorzy chca podjac się postu, musza najpierw skonsultowac się z lekarzem i odbywac post pod jego kontrola. Kategoriecznie zabronione sa także uzywki, lekarstwa i srodki nasenne, poniewaz gdy organizm oczyści się ze zbędnych substancji ich oddziaływania

nie moze byc przez nas odczute dwukrotnie. Nastepuje zatem sytuacja odwrotna niz wtedy, gdy powoli przyzwyczajamy się do coraz wiekszych dawek leku czy alkoholu. Podobnie jak w przypadku diety wegetariańskiej i wegańskiej, nalezy liczym się z koniecznoscia samodzielnego i czasochlonnego przygotowywania dan. Organizm musi dosc gwałtownie przyzwyczaić się do niewielkiej ilosci pozywienia, gl6d trzyma się przez kilka pierwszych dni, nie mozna zatem zaraz po zakonczeniu postu wr6cic do normalnego odzywiania, bo skurczony juz zoladek tego po prostu nie wytrzyma. Dlatego m6wi się także o okresie wychodzenia z postu, kiedy powracamy do normalnej diety, stopniowo dodajac kolejne produkty, które wcześniejszy były zabronione.

Troche fakt6w

Post Daniela moze byc skuteczną i bezpieczną formą leczenia niekt6rych chor6b. Sama dieta zostala opracowana przez dr Ewę Dąbrowską (znana jest też pod nazwą diety Ewy Dąbrowskiej). Jest ona uściśleniem tego, co robil Daniel, a zatem podane sa konkretne owoce i warzywa, ktorzy wolno i nie wolno jeść. Dr Dąbrowska oparła się na swoim doświadczeniu naukowym i badaniach nad



źródło: pixabay.com

wpływem takiej diety na organizm człowieka. W praktyce jest to maksymalnie 40 dni półgłódki przy spożywaniu jedynie warzyw i owoców o niskiej zawartości cukrów. Całkiem niedawno (i bardzo zresztą słusznie) ruch i sport zostały włączone do piramidy zdrowego odżywiania. Tak jak już wspomniałam, post dostarcza ok. 800 kcal dziennie, podczas gdy nasze dzienne zapotrzebowanie sięga nawet 2000 kcal. Spożywa się 5 razy mniej białka i węglowodanów oraz 20 razy mniej tłuszczów, posiłki są bogate w witaminę C. Co ciekawe, wyostrażają się także zmysły, takie jak smak, dotyk i węch, ponieważ odcinając się od nadmiaru bodźców i przesta-

wiając organizm do bardziej naturalnych produktów, potrafimy na nowo docenić to, co nas otacza. Innym pozytywnym aspektem jest możliwość wyzbycia się niezdrowych nawyków i zwiększenie przyjemności jedzenia po zakończeniu głodówki, możemy docenić wartość manny, którą obdarza nas Bóg.

Druga strona medalu

Podczas postu wyjątkowo szybko się chudnie, głównie „z wody” – jest to efekt oczyszczenia organizmu. Największa utrata masy przypada na pierwsze dni postu, wtedy nie dostarczamy sobie kalorii do spalenia, ale organizm wykorzystuje to, co

mamy „w rezerwie”, czyli naszą tkankę tłuszczową. Może pojawić się pokusa, aby jeszcze bardziej zaostrzyć dietę i schudnąć jeszcze więcej, jednak z całego serca przed tym przestrzegam. Tego typu diet należy podejmować się tylko w konsultacji z dietetykiem lub ekspertem, osobą doświadczoną, która w każdej chwili może nam doradzać. Nie każdy może się też postu Daniela podjąć, jak już wspomniałam. Walka wewnętrzna z samym sobą nie powinna także nikogo dziwić. Kiedy jednak widzimy sygnały, na przykład duże osłabienie, zaburzenia snu, nadmierne nerwowość, niekończące się uczucie silnego głodu, oznacza to, że kurację należy przerwać.



źródło: pixabay.com

Często pojawiają się także negatywne skutki oczyszczenia organizmu, takie jak jednodniowy powrót dawnych przewlekłych schorzeń, ale podobnie, jak u Daniela, efekty w postaci poprawionego stanu skóry twarzy również są widoczne. Należy się też przygotować na zasypianie i budzenie się rano głodnym, szczególnie w pierwszych dniach postu, kiedy ośrodek głodu jeszcze się nie wyłączył.

Podsumowanie

Diety nie są niczym nowym, ludzie od wieków szukali wymyślnych sposobów, jak utrzymać szczupłą sylwetkę. Nie ma w tym nic złego, mamy bowiem prawo do przyjemności, jaką daje nam zachwywanie się

najpiękniejszym Boskim stworzeniem, jakim jest człowiek. Jednak przesadne samouwieblenie jest skrajnością. Jak wielu z nas wpada w jego pułapkę... Dlatego też dla mnie ogromnym sukcesem jest podjęcie się postu/diety nie ze względu na egoistyczne pobudki, lecz dla Boga. Poszczenie w czyjejś intencji może być niesłuchanie pokorną formą modlitwy, pod warunkiem oczywiście, że wynika ze szczerzej pobożności. Fakty o poście Daniela przedstawione przeze mnie stanowią jedynie wierzchołek góry lodowej. Jeżeli w jakiś sposób zachęciłam Was, Czytelnicy, do podjęcia się go, możecie sięgnąć po publikację „Post Daniela” autorstwa Krystyny Dajki i ks. Łukasza Piórkowskiego we współpracy z dr Ewą Dąbrowską, w oparciu

o którą powstał niniejszy artykuł. Możecie także znaleźć rozważania na każdy dzień postu i okresu wychodzenia z niego na portalu YouTube, na kanale „Langusta na palmie” prowadzonego przez o. Adama Szustaka OP. Jak zatem widzicie, wiele może Wam pomóc, możecie zrobić coś i dla ciała i dla ducha bez ryzyka popadnięcia w pychę.

Postowie – moje doświadczenia z postem Daniela

W trakcie pisania tego artykułu obchodzimy liturgiczny okres wielkanocny, Wielki Post i Triduum Sacrum już dawno za nami, skąd więc zatem postna tematyka? Pragnę przypomnieć, że pościć można nie tylko w okresie pokuty, zresztą post Daniela leży mniej więcej gdzieś na pograniczu nieco ekstremalnej diety i postu z prawdziwego zdarzenia. Gdy pierwszy raz o nim usłyszałam, pomyślałam, że to musi być jakiś żart, w dodatku niemiło kpiący sobie z katolików. Przeczytałam jednak wyżej wspomniany fragment z Księgi Daniela i zrozumiałam, dlaczego akurat post Daniela i jaki ma on związek z Biblią. Jako osoba, która nie boi się różnych wyzwań i lubiąca eksperymenty na samej sobie, postanowiłam zaraz na początku Wielkiego Postu, że podej-

mę się postu Daniela razem ze swoją mamą. Odbierałam go trochę jako „hardkorowy” weganizm i tak też przedstawiałam swoją nową dietę wśród znajomych. Pierwsze kilka dni oczywiście nie należało do przyjemnych, chodziłam nieprzerwanie głodna, było mi zimno, na dodatek musiałam zrezygnować ze swojej ulubionej kawy. Zgodnie z przewidywaniami, na jeden dzień powróciły też moja łuszczyca, łojotokowe zapalenie skóry i w nieco większym niż dotąd stopniu – trądzik. Był to ponoć efekt uboczny oczyszczenia organizmu z substancji, których nie potrzebował, szkodliwych i toksyn. Były jednak pozytyw – nauczyłam się pić gorzką herbatę i opróżniłam z niej prawie cały kredens. Początkowo nie widziałam w tym wszystkim sensu, bałam się, że nie uzyskam optymalnego efektu, tym bardziej, że moja mama, jako osoba z wykształceniem farmaceutycznym i posiadająca dużą wiedzę, pozwoliła (co w przypadku kobiet oznacza – nakazała) mi jeść więcej nabiału, ponieważ ciągle dojrzewam. Nie mogłam jednak wyjść ze zdziwienia, kiedy z ciekawości stanęłam na wadze. W jakiś dziwny sposób ubyło mi kilka kilogramów, mama zaczęła mi też powtarzać, że wyglądam szczuplej. Nie spodziewałam się cudów, dzisiaj nie wyglądam co prawda jak Miss



Źródło: pixabay.com

Universe, jednak na poście Daniela czułam się niezwykle dobrze, zaczęłam wyraźniej czuć zapach owoców, po pewnym czasie przestałam mieć ochotę na mięso. Razem z mamą przygotowywałyśmy posiłki i robiłyśmy wspólnie zakupy. Mama trzymała się jednak dłużej, bo aż do Świąt Wielkanocnych, ja zaś zakończyłam post po upływie 14 dni. Teraz trochę tego żałuję,

ponieważ czułam, że takie odżywianie wbrew pozorom daje mi dużo radości. Postanowiłam, że gdy tylko wiosna rozkwitnie w pełni, zacznę więcej ćwiczyć. Chciałabym pościć w ten sposób nawet kilka razy do roku, szczerze jednak nie polecam robić tego w zimie.

Serialowa katecheza dla najmłodszych



Wojciech Gałek

Kilkanaście miesięcy temu, przeglądając zawartość programu telewizyjnego, natrafiłem na pewien religijny serial animowany dla dzieci. Ku swojej ciekawości włączyłem telewizor, by zapoznać się z tą produkcją. Gdy tylko znalazłem odpowiedni kanał, zobaczyłem animację 3D, w której główni bohaterowie przenoszą się za pomocą inteligentnego robota (sic!) do lat 30. I wieku i są świadkami wydarzeń decydujących o zbawieniu świata. Całość sprawiała wrażenie produkcji skierowanej do najwyżej pięcio-, sześciolatków.



źródło: pexels.com

Ten krótki seans utwierdził mnie w przekonaniu, że współczesne kino religijne, a zwłaszcza to skierowane do dzieci, przeżywa obecnie kryzys. Z jednej strony twórcy próbują ugryźć poważny temat, z drugiej strony nie mają pomysłu na jego realizację. Przy jednoczesnej próbie pójścia po linii najmniejszego oporu w sferze technicznej, powstają takie potwory, jak ten wspomniany w pierwszym akapicie, gdzie infantylizm miesza się z brakiem jakiego-

kolwiek zmysłu artystycznego.

A szkoda, bo w czasach, gdy dzieci spędzają dużo czasu przed ekranami telewizorów i komputerów, przez przyzwoity serial animowany można próbować dotrzeć do najmłodszych z religijną treścią. Tak jak w czasach średniowiecza witraże pełniły rolę edukacyjną, tak teraz ich obowiązek przejęły kino i telewizja. A że wbrew współczesnym trendom da się zrobić niegłupia, religijną produkcję dla dzieci, udowodnił pewien serial

sprzed około dwudziestu lat.

Bohaterowie dla każdego

“Rzym. Rok 64. (...) Uciekając w panice przed pożarem i przed okrutnymi żołnierzami Nerona, grupa dzieci znajduje schronienie u chrześcijanina, rzymskiego piekarza Bena i jego żony Heleny. W ich domu dzieci odkrywają tajemniczy świat odważnych mężczyzn i kobiet, którzy sobie pomagają i opowiadają o życiu nauczyciela dobrej



nowiny imieniem Jezus”. Tymi słowami narrator wprowadza widza w świat wydarzeń w serialu Strażnicy Dobrej Nowiny. Ta animacja z lat 90. XX wieku to w mojej opinii serial zapomniany. A szkoda. W dobie infantylnych produkcji religijnych dla dzieci czy wręcz w okresie kryzysu kina religijnego, powrót do tej animacji mógłby stanowić powiew orzeźwienia.

Czy jednak warto zachwycać się serialem religijnym skierowanym do dzieci? Przyjrzyjmy się poszczególnym elementom tej animacji. Przede wszystkim należy jasno stwierdzić, że Strażnicy Dobrej Nowiny nie są produkcją skierowaną wyłącznie do najmłodszych. Owszem – głównym odbiorcą pozostają dzieci, ale nie jest to dzieło w stylu Boba budowniczego lub innych Domisiów.

Widać to już po doborze głównych bohaterów. Celowo użyłem tu liczby mnogiej, gdyż twórcy zrezygnowali z jednej, głównej postaci na rzecz kilku

protagonistów. Grupa dzieci: Markus, Cyrus, Hanna, Justyn i Zachariasz to osoby w różnym wieku i o diametralnie różnym charakterze. Markus, jako czterolatek, pojmuje świat w bardzo dziecinny, prosty sposób. Siedemnastoletni Zachariasz to z kolei porywczy chłopak, który swoją nadmierną pewnością siebie oraz walecznym usposobieniem często pakuje się w kłopoty. A przecież ta gromadka dzieci to nie jedyne ważne postacie w tym serialu. Obok nich występuje Ben i Helena, rzymski oficer Tacticus czy służąca Miriam. Każde z nich ma swoją własną, unikalną historię, co sprawia, że przygody bohaterów, pomimo uproszczonej konwencji, są po prostu wiarygodne. Dlatego też każdy z widzów, niezależnie od wieku, znajdzie postać, z którą może się w pewnym utożsamiać.

Zresztą także postacie epizodyczne oraz szwarccharaktery mają swój urok. Zdecydowanie na pierwszy plan wysuwają

się tu dwaj oficerowie rzymskiej armii: Capella i Nihilus. O ile ten drugi to główny bohater negatywny, lubujący się w zadawaniu bólu wierny sługa Nerona, o tyle Capella to postać w pewnym sensie tragiczna i na przestrzeni kilku odcinków jej wizerunek zmienia się diametralnie. W zasadzie najmniej wiarygodną postacią w całym serialu jest cesarz Neron, który wydaje się być zbyt groteskowy na tle innych osób.

Czymże by jednak byli bohaterowie, gdyby nie mieli żadnych przygód, które oglądalibyśmy z zapartym tchem?

Konstrukcja opowieści

Na fabułę serialu składają się dwie płaszczyzny. Pierwsza z nich to losy głównych bohaterów żyjących w Rzymie po wielkim pożarze z 64 roku. To właśnie ta warstwa stanowi podstawową fabułę animacji. Drugą płaszczyzną są wydarzenia z życia Jezusa przedstawiane w formie opowieści przekazywanej przez jednego z bohaterów (zazwyczaj Bena, ale nie tylko). Każda z tych warstw ściśle wiąże się z sobą, a przygody bohaterów są spójnie powiązane z poszczególnymi momentami z Ewangelii.

Na serial składa się 13 dwudziestopięciominutowych odcinków. Każdy z pierwszych ośmiu epizodów to w zasadzie

odrębna historia poruszająca konkretny problem. Czego tu nie ma? Jest próba uwolnienia przyjaciela z lochów, ucieczka w labiryncie katakumb przed legionistami, nocna podróż między miastami w towarzystwie gadającego do swojego konia przewodnika, któremu nie można w pełni zaufać. Humor i niebezpieczeństwo mieszają się ze sobą na każdym kroku. Natomiast odcinki od 9 do 13 tworzą jedną, zamkniętą opowieść, skupioną wokół denuncjacji kilku głównych bohaterów i próby ucieczki przed Neronem. Taki zabieg sprawia, że napięcie w ostatnich pięciu epizodach nie spada poniżej pewnego poziomu, a los bohaterów nie jest pewny aż do ostatnich momentów.

W poszczególnych odcinkach na pierwszy plan wysuwa się jedna z postaci i to wokół niej i jej problemów i wyzwań kręci się fabuła. Z tego powodu mamy opowieści bardziej dziecinne, jak Lwia rodzina, której głównym wątkiem są perypetie Markusa i znalezionych przez niego lwiatka, i te poważniejsze, jak Gniew cezara, w którym pierwszoplanową rolę gra Zachariasz próbujący udowodnić swojemu stryjowi, że nie jest już dzieckiem, ale poważnym mężczyzną.

Serial nie jest pozbawiony przy tym warstwy dydaktycznej. Fabuła poszczególnych od-

ciników prowadzona jest tak, aby wypunktować jakieś negatywne zachowania i pokazać odpowiednie wyjście z danej sytuacji. Warto przy tym zwrócić uwagę, że zazwyczaj losy bohaterów są pokazane w kontekście do wydarzeń z Ewangelii. Z tego powodu postać Jezusa stanowi punkt odniesienia tak dla postaci z serialu, jak i dla młodego widza.

Tutaj może się też nasunąć pytanie, na ile wiernie przedstawiono samą historię życia Chrystusa. Czy nie ma tu jakichś przekłamań ani wypaczeń? Odpowiedź brzmi: nie. Sceny rozgrywane się w Galilei są oparte bezpośrednio na tekście biblijnym, więc trudno mówić na przykład o reinterpretacji postaci Jezusa. W zasadzie, oglądając serial, miałem wątpliwości jedynie w dwóch scenach. Pierwszą z nich jest wizyta mędrców ze Wschodu w Betlejem. Pojawiają się oni w liczbie czterech, a nie trzech, jak przyjęto się uważać. Drugi moment wątpliwo-

ści to zestawienie wspomnień Ostatniej Wieczerzy z sceną posiłku spożywanego przez ukrywających się chrześcijan, co może wydawać się mocno protestanckim sposobem interpretowania tego wydarzenia biblijnego. Niemniej jednak trudno jednoznacznie określić, jaki był zamysł twórców.

Dla dzieci, ale nie dziecinnie

Czy są jeszcze jakieś elementy, które wyróżniają Strażników Dobrej Nowiny na tle współczesnych animacji? Przede wszystkim serial nie jest produkcją infantylną, a twórcy nie traktują młodych widzów jak idiotów. Nie ma tutaj sielskiej atmosfery, gdzie wszystko jest kolorowe, a bohaterowie żyją bez żadnych zmartwień. Owszem – zdarzają się momenty bardziej dziecinne, a niektóre problemy rozwiązywane są w zbyt prosty sposób. Ale nawet w takich chwilach serial stara się traktować odbiorcę poważnie i za przedstawionymi



Źródło: YouTube.com



źródło: unsplash.com

wydarzeniami zawsze stoi jakaś historia i morał.

Można zaryzykować tezę, że twórcy w udany sposób przenieśli realia „zwykłego” życia chrześcijan w starożytnym Rzymie na płaszczyznę serialu animowanego dla dzieci. I choć bohaterowie na co dzień próbują żyć normalnie, wykonując swoje obowiązki i bawiąc się w wolnych chwilach, to przecież cały czas zdają sobie sprawę z ryzyka, jakie niesie ze sobą bycie chrześcijaninem. Konieczność ukrywania swoich spotkań przed obcymi, ryzyko zdrady, pojmania i męczeńskiej śmierci to dla nich chleb powszedni, a bohaterowie nieraz stawiani są przed dylematem – zachować majątek, zdrowie i życie czy wiarę w zmartwychwstałego Chrystusa. I choć (za-

zwyczaj) wszystko kończy się dobrze, to atmosfera niebezpieczeństwa pojawia się w każdym odcinku.

Pokazując dylematy moralne, twórcy nie uciekają jednocześnie się do banałów. Męczennicy nie zawsze idą na śmierć z uśmiechem na ustach, a strach przed śmiercią potrafi zasiać zwątpienie nawet w najodważniejszym. Jezus umierając na krzyżu nie uśmiecha się, jakby traktował wszystko jako żart, ale faktycznie cierpi fizycznie i psychicznie. Oczywiście nie mamy tu do czynienia z takimi scenami jak w Pasji Gibsona, ale Męka Pańska nie jest przesadnie ugrzeczniona.

Serial pokazuje również pewnego rodzaju fenomen, jakim było chrześcijaństwo. Oto

tysiące zwykłych ludzi zaczyna zachowywać się w sposób, który szokował, ale zarazem fascynował pogańskich Rzymian. Najdobitniej wyraża to jedna z postaci, pytając Zachariasza: „Kimże jest ten Jezus, że jesteście gotowi życie za niego oddać?”. Takie pytanie zapewne zadawało sobie wielu im współczesnych, jak choćby pewien Justyn, późniejszy święty.

Kwestie techniczne w służbie opowieści

Niestety, aby sprawiedliwości stało się zadość, trzeba też wspomnieć o wadach serialu. A tych jest dość dużo. Po pierwsze: animacja nie jest idealna. Jest co najwyżej przyzwoita. Pod względem tech-

nicznym to po prostu produkt jak wiele powstałych w tamtym okresie. Widać tu także wszystkie mankamenty techniki tzw. ograniczonej animacji. Również muzyka tworzona najprawdopodobniej na elektronicznych syntezatorach nie może zostać uznana za wybitną, choć w miarę dobrze sprawuje się w roli dźwiękowej ilustracji przedstawianych wydarzeń. Od strony audiowizualnej Strażnikom Dobrej Nowiny daleko do produkcji Disneya czy niektórych współczesnych animacji, co czasami może drażnić widza.

Ale pomimo tych wad, również w kwestiach technicznych, twórcy odnieśli pewnego rodzaju sukcesy. Na przykład sposób rysowania oraz animacji wygląda inaczej w momentach „rzymskich”, a inaczej w scenach biblijnych. W pierwszym przypadku w niektórych sytuacjach mamy do czynienia z niewielkim przerysowaniem postaci, które ma podkreślać ich charakter. Nihilus jest potężnie zbudowanym mężczyzną z nadnaturalnie masywnym podbródkiem, Ben „puszystym” człowiekiem, a Neron niską, kościstą osobą. Natomiast postacie pojawiające się w biblijnych retrospekcjach są narysowane w sposób bardziej realistyczny, bez przesadzonych cech fizycznych (wyjątkiem są tutaj tłumy, przedstawione zazwyczaj w bardzo uproszczony

sposób za pomocą odpowiednio rozłożonych kolorowych plam). Ponadto jeśli w jednej z takich retrospekcji Jezus opowiada jakąś przypowieść, to jest ona rysowana w jeszcze inny sposób. Taki zabieg jest silnie związany z konstrukcją odcinków, podkreślając jednocześnie charakter poszczególnych wydarzeń. O ile „główna” animacja wpisuje się w konwencję serialu dla dzieci, o tyle postacie w części biblijnej pokazane są, jakby dla kontrastu, jako ta najbardziej realna część opowieści.

No i bezsprzecznie najlepszą rzeczą w warstwie audiowizualnej serialu jest... pierwszy polski dubbing (pierwszy, bo później podjęto kolejne, mniej udane próby). Strażnicy Dobrej Nowiny nie są wyjątkiem od reguły mówiącej, że Polacy świetnie sobie radzą w podkładaniu głosów pod animacje. W udźwiękowieniu wzięli udział tacy aktorzy jak śp. Janusz Bukowski w roli Bena czy Andrzej Ferenc jako Jezus. Ten drugi ze swoim ciepłym, głębokim głosem w mojej opinii stworzył jeden z najlepszych portretów Zbawiciela w historii kina i telewizji.

Czy warto?

Zadajmy sobie jeszcze raz pytanie: czy warto zachwycać się tym serialem? Czy te pozytywne opinie są faktycznie war-

te uwagi, czy wynikają one jedynie z sentymentu do animacji z lat dzieciństwa? Cóż. Wydaje się, że jedno i drugie.

Serial nie jest doskonały. To fakt. Wiele elementów mogło być zrealizowanych lepiej, a niektóre rozwiązania fabularne wydają się zbyt banalne. Trzeba pamiętać, że mimo prób zachowania powagi nadal jest to produkcja skierowana głównie dla dzieci, a nie mroczna, japońska animacja dla dorosłych. Ale mimo wszystko nie należy lekceważyć tego serialu.

W okresie dominacji filmu i telewizji Strażnicy Dobrej Nowiny są świetnym pomysłem na podsuniecie dziecku wartościowej animacji, która w prosty, ale nie tandetny sposób tłumaczyłaby młodemu odbiorcy historię życia Zbawiciela i pierwszych chrześcijan, skutecznie wspierając rodziców w przekazywaniu wiary młodemu pokoleniu. I to takiej traktowanej w sposób poważny. Nie wiary w jakąś „Bożę”, ale w Jezusa Chrystusa, Boga, który dla naszego zbawienia stał się człowiekiem, umarł i zmartwychwstał, i dla którego setki, tysiące osób były gotowe oddać życie. I że my tak naprawdę też jesteśmy częścią tej historii. Że o nas także jest ten film. O strażnikach Dobrej Nowiny.

Nadzieja ukryta między słowami, czyli o Twenty One Pilots



Bartłomiej
Wojnarowski

*Ale ty specjalizujesz się w umieraniu
Słyszysz mnie krzyczącego „Ojcie!”
Leżę tu płacząc
Więc obmyj mnie swą wodą
(fragm. utworu „Addict with a pen”/Twenty One Pilots (2009))*



Twenty One Pilots podczas występu w Bostonie w 2016 roku (fot. Brad Heaton)

Podczas koncertów malują szyję i ręce czarnym barwnikiem, nieraz wystąpili w strojach kościo-trupów, a ich muzyka nie zawsze należy do najłżejszych. Prowokują, pytają, szokują. Nie znajdziemy w ich tekstach prostych odpowiedzi. Mowa o amerykańskim zespole Twenty One Pilots. To nie będzie łatwa historia o zespole podrzucającym w swoich tekstach proste odpowiedzi. To będzie opowieść o dwóch facetach, którzy poruszają sumienia przez pytania o sens cierpienia, granice prawdy, nadzieję, śmierć i życie. I w ten sposób zbliżają ludzi do Nieskończonego.

Szaleni piloci

Zespół Twenty One Pilots (stylizowany zapis: TWENTY ØNE PILØTS) został założony w 2009 Columbus przez trzech przyjaciół z collegu: Tylera Josepha, Nicka Thomasa i Chrisa Saliha, Joseph wymyślił nazwę zespołu podczas czytania sztuki Arthura Millera pt. „Wszyscy moi synowie”. Nazwa nawiązuje do dramatycznej historii opianej w książce. Pod koniec II wojny światowej jeden z mechani-

ków popełnił przez zaniedbanie i nieuwagę poważny błąd podczas konserwacji samolotów. W wyniku tragicznej pomyłki, z jego winy zginęło właśnie 23 niewinnych pilotów. W ten sposób artyści, już w samej nazwie zespołu chcieli nawiązać do dylematu moralnego, poczucia winy i pytań o odpowiedzialność, którą jesteśmy obarczani. Od początku działalności uciekali od klasycznej muzyki pop, szukając w połączeniu instrumentów i dźwięków niepowta-

rzalnego stylu. Zespół raz po raz szokował i ciągle szokuje, gdy podczas koncertów decyduje się, by wystąpić w kominiarkach czy założyć niepokojący, sceniczny makijaż. Po co to wszystko? Być może, po to, by uświadomić nam, że każdy z nas nosi w sobie część ciemności z którą musi codziennie się zmagać...

Inni

Na światowej scenie muzycznej wręcz roi się od zespo-

łów, które określają się jako chrześcijańskie. Uwielbieniowe, gospel, śpiewające chorał czy muzykę dawną. Z pewną dawką szczęścia, szczególnie, gdy tworzą w krajach czy regionach o wysokim poziomie religijności, wraz ze śpiewaniem o Bogu przychodzi sława. Ta opowieść jest inna, bo całkiem inny jest zespół, o którym będzie ta historia. Zamiast prostych recept i pochwalnych pieśni serwują słuchaczowi pytania o sens cierpienia, granice prawdy i nadzieję. Już od początku Tyler Joseph i Josh Dun postanowili nadać swojej działalności wyjątkowy rys. Przede wszystkim przez tworzenie muzyki na granicach gatunku. Wielu krytyków muzycznych nie jest w stanie określić stylu muzycznego, w jakim tworzy Twenty One Pilots. Niektórzy kategoryzują zespół w granicach electro-popu, indie-troniki czy alternatywnego rocka. Oprócz perkusji podczas koncertów można usłyszeć także gitarę elektryczną, klasyczną czy ukulele. Już od pierwszych koncertów wyróżniali się ekspresją, mocnym rockowym brzmieniem i bezpośrednim kontaktem z fanami. Twórczość Twenty One Pilots wypełniają uczucia wątpliwości, nadziei, wściekłości, co wyrażają w sposób symboliczny poprzez malowanie rąk i szyi czarnym barwnikiem - nasze wątpliwości i zło



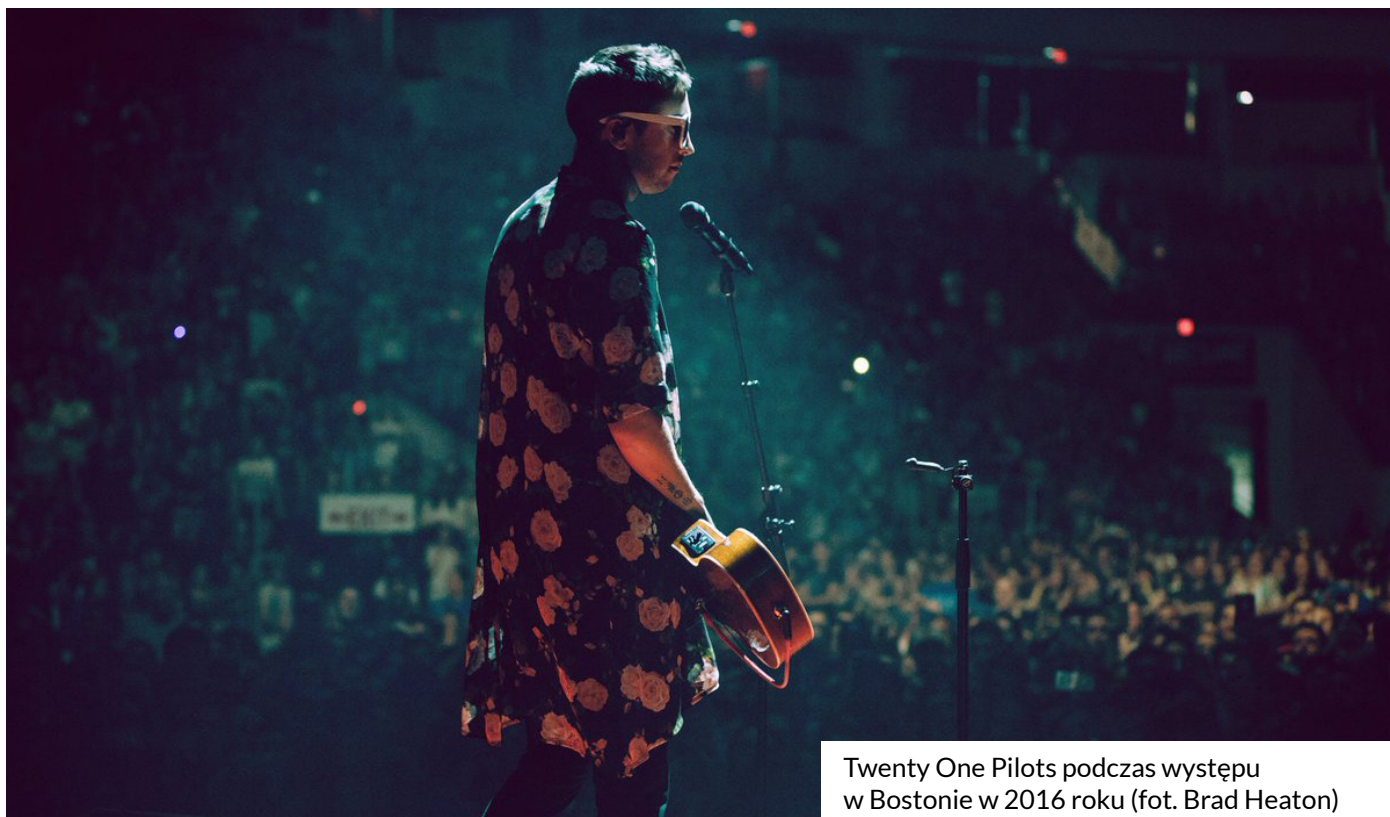
Twenty One Pilots na konferencji prasowej Soundboxu w Bangkoku (fot. Sry85)

chcą nas „udusić”. W ten sposób Tyler i Joseph piosenka po piosence odkrywają przed słuchaczami nowe rozdziały bólu. To muzyka pełna pytań o sens i chaos. Ale i szczerości. Bo oni nie tworzą po to, by grzecznie stać w szeregu.

Ojcie, obmyj mnie swoją wodą!

Jeszcze w 2009 roku wydali swój debiutancki album, zatytułowany po prostu Twenty

One Pilots. Tyler stworzył go wspólnie z Nick’iem Thomasem i Chrisem Salihem, których poznał jeszcze podczas nauki w collegu. Płyta ukazała się 29 grudnia 2009 roku. Na krążku znalazło się 14 utworów. Debiutancki krążek, wydany własnym nakładem, stał się popularny głównie dzięki utworowi „Addict with a pen”. Piosenka poraża, czy lepiej powiedzieć, przyniata szczerością. Chociaż nie znajdziemy w nim słowa Bóg czy bezpośrednich religijnych



Twenty One Pilots podczas występu w Bostonie w 2016 roku (fot. Brad Heaton)

odniesień, to trudno oprzeć się wrażeniu, że utwór to bolesna opowieść o poszukiwaniu ojca, tego ziemskiego i tego Ojca, który może ukoić wszelki ból. Nie brak w nim opowieści o duchowej pustyni, poszukiwaniu wody i zrezygnowaniu: Utwór był symbolicznym przedstawieniem się zespołu, który już w debiutanckiej płycie pokazał, że Twenty One Pilots nie interesują rzeczy łatwe. Zespół w 2010 roku wyruszył w swoją pierwszą trasę koncertową, która rozpoczęła się od klubów w Ohio, Columbus i imprez studenckich.

Po dwóch latach, gdy w 2011 roku zespół stał się rozpoznawalny w całych Stanach Zjednoczonych przyszedł czas na drugą płytę, tym razem pod tytułem "Regional at Best", co w wolnym tłumaczeniu ozna-

cza „Najlepsi w regionie”. Był to autosarkazm, ponieważ zespół na początku postrzegany był jako mało znaczący band, grający w miejscowych knajpach. Na krążku pojawiło się 14 utworów (+ 2 dodatkowe w wersji gold płyt). I także jak w wypadku debiutanckiego krążka zespół zaproponował nietuzinkową muzykę - pełną mocnego brzmienia i mocnych pytań, na które nie sposób od razu odpowiedzieć. Album był dla zespołu nowym początkiem, bo został wydany już w nowym składzie. Z zespołu odeszli Nick Thomas i Chris Salih, których zastąpił Josh Dun, były muzyk zespołu House of Heroes. W ten sposób zespół stał się duetem: Tyler Joseph - Josh Dun. Druga płyta była bardziej melancholijna. Dominuje w niej poczucie osamotnienia,

wątpliwości. Najbardziej znane z piosenek: „Ode to Sleep”, „Kitchen Sink” i „Guns for Hands” są rodzajem bolesnego krzyku w kierunku Boga, świata i siebie samego. To zdecydowanie jedna z najbardziej „mrocznych” płyt zespołu, która pozostawia najmniej dla pozytywnych odniesień.

Wykrzyczeć niepewność

Trzeci krążek „Vessel” został wydany w 8 stycznia 2013 roku, jako pierwszy album wydany dla Twenty One Pilots przez wytwórnię płytową Fueled by Ramen. Okładka płyty przedstawiała dziadków Tylera i Josha. Zespół wyjechał też na międzynarodową trasę koncertową w 2014, odwiedzając m.in. festiwale Lollapalozę i Filerly. Co

ciekawe, duża część z utworów na „Vessel” pojawiła się już w poprzednim krążku, ponieważ wytwórnia podpisała z zespołem umowę o zatrzymanie sprzedaży płyty „Regional at Best”.

Czwarta płyta, „Blurryface” z 2015 przyniosła zespołowi największy rozgłos. Wydanie pełnej płyty poprzedziło aż 5 singli: 11. „Fairly Local”, „Tear In My Heart”, „Stressed Out”, „Lan Boy”, „Ride oraz Heavydirtysoul”. Krążek pełen jest osobistych odniesień, wspomnień i historii z życia Tylera i Josha, co świetnie widać w kawałku „Stressed Out”, który opowiada o tęsknocie za dzieciństwem. Płyta jest owocem muzycznego dojrzenia obuczłonek zespołu, co oddaje jej spójny charakter. „Blur-

ryface” zostało entuzjastycznie przyjęte przez krytyków muzycznych, ale przede wszystkim przez fanów. Tytułowy „Blurryface” to w tłumaczeniu Tylera: „reprezentuje wszystkie rzeczy, którymi jestem ja, jako jednostka, wszystkich wokół oraz niepewność, którą nas otacza”. To właśnie w nawiązaniu do tytułu płyty Tyler i Josh malowali podczas koncertów ręce i szyje, co symbolizować ma ciemną stronę nas samych i dręczące nas wątpliwości.

Ewangelia wg Twenty One Pilots

W wielu anglojęzycznych blogach, stronach internetowych i forach pojawia się py-

tanie: Czy Twenty One Pilots to chrześcijański zespół? Jeśli chrześcijański rozumiemy „bezpośrednio śpiewający o Bogu” to odpowiedź brzmi: nie. W żadnej z piosenek nie pada słowo Jezus, Bóg czy nie ma odniesień do świętych. Jednak Tyler i Josh związani są osobiście z chrześcijańską organizacją Five14 z Columbus i określają się jako praktykujących chrześcijan. Jak sami podkreślali w wielu wywiadach ich muzyka ma doprowadzać do spotkania z drugim człowiekiem. Trudno jednak ukryć, że to spotkanie pełne wiary, która jest często obciążona wątpliwościami, niełatwa, chwieje się i krzyczy o sens. Ale ciężko na współczesnej scenie muzycznej znaleźć zespół, który tak głęboko i dyskretnie „przemycą” w swoich utworach pytania o sprawy najważniejsze. Tak jest w piosence „Addict with a Pen”, która jest bolesną modlitwą syna do Ojca, „Judge” to opowieść o nawróceniu i radości z poznania prawdy, a „Ode to Sleep” jest dramatycznym krzykiem o oddalenie duchowych wątpliwości i ciemności, która dręczy autora. Obaj w młodości byli związani z alternatywnymi zespołami chrześcijańskimi jak DC Talk czy Relient K. Tyler i Joseph posiadają także na swoich prawych rękach tatuaże, które mają odzwierciedlać ich wiarę. W ten sposób pokazują, że wia-



Twenty One Pilots podczas nagrywania teledysku (fot. Bard Heaton)



ra i Ewangelia są tak piękne, że nie trzeba ich „sprzedawać” jak produktu. Wystarczy dyskretna sugestia, poprowadzenie, a do każdego należy osobista decyzja, jaką drogą pójdzie, by poszukać prawdy. Dlatego zespół Twenty One Pilots określa się w USA mianem zespołu propagującego „kulturę spotkania”. Bez wykładania na tacę prostych rozwiązań i odpowiedzi Twenty One Pilots chce nas zaprosić do podróży w głąb. A to my wytyczymy szlak.

Nie koniec

W listopadzie 2016 roku w wywiadzie dla Alternative Music ogłosili, że chcą powrócić do muzyki bardziej autentycznej. W 2017 roku muzycy wyruszyli w sentymentalną podróż - trasę koncertową „Tour De

Columbus”. W jej ramach odwiedzili 5 miejscowości, w których grali rozpoczynając działalność: W lipcu 2017 roku zawiesili swoją aktywność w mediach społecznościowych. Na zdjęcie profilowe wybrali znak myślnika na czarnym tle, a zdjęciem w tle stał się napis *silence* (ang. cisza). Od tego momentu nie udzielają się w mediach społecznościowych. Na grafice z napisem *silence* zakodowali kilkanaście znaków, które pozostawili bez wyjaśnienia: specyficznymi ułożone punkty, przypominające znaki, niewyraźny napis w alfabecie Braile’a. Na swoim Twitterowym profilu zamieścili także gifa z zamykającym się okiem i napisem „Silence”. Fascynująca droga Twenty One Pilots nie dobiegła jednak końca. Przeciwnie. Kolejny raz przekazują nam coś ważnego, za pomocą prostych

symboli, ale być może zbyt prostych, byśmy my, ludzie postmodernizmu je zrozumieli. Czy ta specyficzna wiadomość oznacza zakończenie kariery? A może jej przerwanie? To pytanie zadają sobie krytycy muzyczni, a przede wszystkim fani. Nie znamy jednoznacznej odpowiedzi aż dotąd, a minęło już ponad pół 9 miesięcy. Ale to przecież tak bardzo w ich stylu: nie stawiają gotowych pytań i nie dają łatwych odpowiedzi. Raczej pytają o mój i swój ból. O sens prawdy i cierpienia. O wiarę i przyjaźń. I o chwilę, w której brakuje nadziei.

Oni powrócą. Wstaną ze snu. W najbardziej nieoczekiwanym momencie. Bo to nie tylko muzyka. To trening z Nadziei.



Co czyni nas ludźmi?



Piotr Krajski

„Bardziej ludzcy niż ludzie” – to hasło pada w *Blade Runnerze* Ridleya Scotta, wracając także w kontynuacji Denisa Villeneuve. Czy to tylko pusty zwrot reklamowy korporacji tworzącej androidy, czy zdanie o wiele głębsze, zmuszające nas do zastanowienia się nad ludzką naturą i jej ograniczeniami?



Kadr z filmu *Bladerunner 2049* (reż. Denis Villeneuve)

Kiedy nie tak dawno dyskuutowano przy okazji Oscarów, kto powinien zostać zwycięzca, mój faworyt był zupełnie inny. Choć otrzymał kilka nominacji, nie dostał jej w kategorii dla najlepszego filmu. Kontynuacji *Blade Runnera* można było się obawiać z kilku powodów. Ostatnie lata pełne były powrotów do kultowych serii, które okazywały się niczym więcej, jak puszczaniem oka do starych widzów, zakurzone kostiumy bez powiewu świeżości. Film Villeneuve’a okazał się pod tym względem zaskoczeniem. Dziełem samodzielnym, choć tak samo jak część pierwsza zadającym pytania o człowieczeństwo.

Blade Runner 2049 świadomie odwołuje się do czasów współczesnych. Kiedy pierwsza część stanowiła ciekawy ma-

riaż kina noir z estetyką lat 80., film Villeneuve’a pomimo oczywistych estetycznych odniesień rysuje przyszłość bardziej surową, apokaliptyczną, przez co w pewnym sensie bardziej zbliża się do książkowego pierwowzoru. W książce Dicka ziemia jest bowiem miejscem opustoszałym, w którym pozostali nieliczni. Reszta przeniosła się na pozaziemskie kolonie oferujące życie wolne od skażenia i zmartwień ziemi. Los Angeles przyszłości w wydaniu kanadyjskiego reżysera to enklawa na jałowej pustyni. Świetliste neony, trójwymiarowe reklamy, hologramy oślepiające swoim blaskiem i feeria kolorów przedstawiają faktyczny stan. Stan załudy. W tym świecie pozorów łatwo także czasem rozpoznać, kto jest człowiekiem. Choć tym

razem nie obserwujemy losów detektywa, którego człowieczeństwo zostaje poddane w wątpliwość. Śledzimy losy nowego blade runnera, oficera K. – androida polującego na androidy. Choć czy na pewno tylko androida?

Gdy w filmie Scotta pytanie o człowieczeństwo pada wraz końcem filmu, stając się sporem wśród widzów na kolejne dziesięciolecie, w *Blade Runner 2049* reżyser czyni z tego pytania główną oś swojego filmu. Warto jednak podkreślić, że pierwsza część także porusza zagadnienie człowieczeństwa na kilku płaszczyznach. Warto zestawzić ze sobą oba dzieła po to, by dostrzec różnice i punkty wspólne, które pojawiają się w przedstawieniu historii replikantów.

Kadr z filmu *Bladerunner 2049* (reż. Denis Villeneuve)

W filmie z 1982 r. śledzimy losy tytułowego łowcy Deckarda, który poluje na androidy zbiegłe z kolonii. Bohater stylizowany jest na detektywa z czarnych kryminałów. Charakteryzuje go nie tylko długi płaszcz, ale i pewien sposób bycia. Trochę zdystansowany, nieco wyzbyty z uczuć. Klasyczni bohaterowie czarnego kryminału odznaczali się także dwuznacznym podejściem do moralności. W ich filozofii życiowej ważny był efekt, który można było osiągnąć w niekoniecznie uczciwy sposób. Czy taki jest także Deckard? Zdaje się, że nie ma wyboru, musi złapać androidy. Podczas polowania na jednego z nich słyszy znamienne zdanie: „You are made for this” – jesteś do tego stworzony lub zrobiony – sugerując w ten sposób być może faktyczne pochodzenie Deckarda, który mógłby być zaprogramowany do łapania innych zbuntowanych replikantów. Ale może to oznaczać coś innego. Deckard po prostu przy-

pomina w swojej pracy robota, robi to, co musi i w jego życiu nie ma miejsca na wybór, na świadome podejmowanie decyzji. W jakimś sensie upodabnia się do mechanicznego tworu, wyzbytego głębszych doznań. Ten element zostaje podkreślony także wtedy, kiedy przywódca androidów Roy Baty opowiada, ile niesamowitych rzeczy widział w ciągu swojego krótkiego życia. Replikanty, które w filmie Scotta są w stanie przeżyć jedynie 4 lata, zdają się tego życia spragnione, świadome przemijalności starają się je przeżywać w sposób bardziej intensywny. Na ich tle Deckard jest kimś ostygłym w zapale, zobojętniałym wobec cudu życia.

Niezwykle kluczowe dla zrozumienia pierwowzoru jest spotkanie Roya Battego ze swoim twórcą – dyrektorem korporacji, która zaczęła produkować androidy. Tyller przez swój wygląd przywołuje na myśl urzędnika. Nie wizjonera, nie rewolucjonistę, ale pragmatyczne-

go konstruktora. W pałacowej scenerii przy szachownicy kojarzy się z kimś, kto obmyślił grę, w której androidy uczynił swoimi pionkami. Jednak to właśnie w scenie spotkania android dokonuje w tej rozgrywce twórcę. Jakby buntował się przeciwko roli, jaką mu wyznaczył. W świecie wykreowanym przez Scotta replikanty produkowane są do celów wojskowych lub rozrywkowych, nie do samodzielnego życia. I choć specjalnie obmyślony test ma rozróżniać ludzi i roboty ze względu na zdolność do reakcji emocjonalnych, w androidach rodzą się uczucia.

Warto pozostać przy wątku Tyllera, bo chociaż przywołuje on na myśl bardziej konstruktora, twórcę niż stwórcę, jego postać może nieco przypominać obraz Boga, jaki Terry Gilliam wykreował w swojej antybaśni *Złodzieje czasu*. Tam Bóg przedstawiony jest jako urzędnik pod krawatem, któremu brakuje współczucia i miłości. Jego surowość objawia się w urzędniczej precyzji i pragmatyzmie. Czy tak nie można by odbierać twórcy korporacji z *Blade Runnera*? Gdyby uznać, że androidy to metafora ludzi, Tyller okazuje się w takim ujęciu Bogiem w myśl deizmu, Bogiem, który wprowadził świat w ruch, już więcej się nim nie interesując. Idąc tym tropem, pragnienie życia zobrazowane przez andro-

idy jest uprzytomnieniem sobie ludzkiej przemijalności i ciągłej świadomości widma śmierci, której chcą się przeciwstawić.

To tylko jedna z interpretacji, ale prowadzi nas w bardziej pesymistycznym kierunku. Replikant w takim wypadku okazuje się zobrazowaniem pewnego zniewolenia, jakiemu poddajemy się jako ludzie, gotowi zamknąć się w wyznaczonych rolach, pozbawieni zdolności do decydowania o własnym życiu, bezradni wobec własnej śmiertelności. Z drugiej strony jeden z współtwórców androidów, Sebastian, określa je jako „doskonałe” i „czyste”. A hasło korporacji głosi „bardziej ludzcy niż ludzie”, jakby androidy były pozbawione wad, które mają ludzie, podkreślając jedynie ich dobre cechy. A jednak androidy są w stanie zabijać, by zrealizować swój cel.

Warto zatrzymać się przy tym, co ma rozróżniać replikanty od ludzi. Wspomniany test sugeruje, że to, co odróżnia roboty od ludzi to zdolność do odczuwania emocji. Paradoksalnie to replikanty są w stanie odczuwać bardziej, zadając pytanie o to, czy ludzie czasem nie zachowują przypominać robotów, gdy tracą wrażliwość, empatię, zdolność przeżywania życia w sposób świadomy. W książce Dicka mamy scenę, w której Deckard robi test innemu łowcy



Kadr z filmu *Blade runner* (reż. Ridley Scott)

androidów, gdy nie jest pewny jego człowieczeństwa, i choć zdaje on test na człowieka, to jego ogólny obraz jest dość pesymistyczny. Jakby w człowieczeństwie istniała poważna luka, której miałyby być wyzbyte same androidy.

W ramach kontynuacji *Blade Runnera* powstał krótki metraż animowany 2022 *Blackout* wyjaśniający, co wydarzyło się pomiędzy pierwszą a drugą częścią. W tej opowieści jedna z replikantek pyta drugiego androida, czy po śmierci pójdą do nieba. W odpowiedzi słyszy: „Nie ma dla nas nieba ani piekła, ten świat jest wszystkim, co mamy”. Znowu zostaje tu podkreślona – jak w przypadku pierwszej części – potrzeba przeżywania życia w cieniu śmierci, która kończy wszystko. Równie ważna okazuje się scena, w której człowiek zachwycony jedną z replikantek używa tego samego określenia, co Sebastian z pierwszej części: „Jesteście perfekcyjni,

czyści”. Bohater przeciwstawia doskonałość androida wadom ludzkim: egoizmowi, zdolności do kłamstwa i zdrady. W ten sposób tłumaczy, w czym mają być one bardziej ludzkie od ludzi. Tak jakby androidy okazały się dziełem doskonalszym, nie skażonym w swojej naturze grzechem pierworodnym.

Ten wątek rozwijany jest w jakiś sposób w *Blade Runner 2049*. Po upadku korporacji Tyllera i buncie ludzi wobec androidów, ideę idealnych maszyn podejmuje na nowo Wallis, milioner, który chce stworzyć jeszcze doskonalsze androidy. W porównaniu do Tyllera okazuje się on w swoim odczuciu kimś więcej niż pragmatycznym konstruktorem. Swoje twory nazywa „aniołami”. Wallis zdaje się postrzegać siebie jako kogoś, kto poprawia niedoskonałą naturę, a jednak nie jest w stanie osiągnąć jednego. Sprawić, by androidy były zdolne do rodzenia. Tutaj przechodzimy do zasadniczych różnic pomiędzy

pierwowzorem a nowym Blade Runnerem. W 2049 r. znaczenia nie mają już różniące ludzi i androidy okazywanie emocji i uczuć, lecz cechy ludzkie, które decydują o człowieczeństwie u jego podstaw: zdolność do bycia urodzonym, zrodzonym z miłości.

Oficer K. jako android stara się tej miłości poszukiwać chociażby w postaci komercyjnej aplikacji Joi – hologramu dziewczyny. Relacja K. do Joi to niejako krok dalej, niż w przypadku filmu Scotta, gdzie zarysowany został związek człowieka i androida. Joi jest świadoma swojej sztuczności i za wszelką cenę próbuje pokonać swoje ograniczenie. A jest nim brak fizycznego wymiaru. „Chcę być dla ciebie prawdziwa” – mówi do ukochanego. To samo zdanie pada kilkakrotnie w filmie. K. słyszy je także od swojej przełożonej z policji: „Wszyscy szukamy czegoś prawdziwego”.

To kolejny istotny element definiujący człowieka w filmie

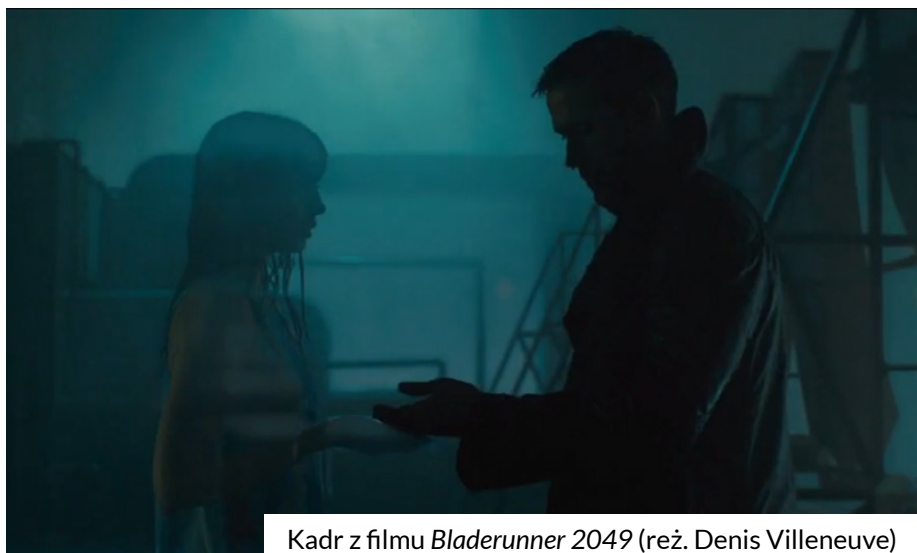
Villeneuve’a. Bycie prawdziwym, fizycznym, nie kopia, nie repliką, ale sobą samym, niepowtarzalnym. Czyli posiadanie niepowtarzalnej duszy. To pojęcie pojawia się w filmie. „Myślę, że urodzić się to znaczy mieć duszę” – tłumaczy K., gdy otrzymuje rozkaz, by zabić tym razem nie typowego replikanta, ale kogoś, kto się urodził.

Fizyczność, prawdziwość, dusza, urodzenie z miłości. Do tych pojęć definiujących człowieka dochodzi jeszcze jedno. „Umrzeć za sprawę, to najbardziej ludzki czyn, jakiego możemy dokonać” – mówi jedna z replikantek. Poświęcenie dopełnia wszystkie pozostałe elementy składające się na obraz człowieka. Pod tym względem film Villeneuve’a niejako rozwija spostrzeżenia z pierwszego Blade Runnera.

We wspomnianym krótkim metrażu padają znamienne słowa: „Nie jesteśmy niczym więcej niż żołnierzami w piaskow-

nicy... Możemy żyć dłużej niż stare androidy, ale »życie« nie oznacza życia”.

Oddać życie, by je odzyskać. Być może to stanowi odpowiedź w kontynuacji Blade Runnera na te słowa. Być może w takim kierunku można interpretować drugą część: potwierdzamy nasze człowieczeństwo wtedy, gdy żyjemy prawdziwie i ofiarnie, a nie przesłaniamy je pozorami. W 2049 r. według wizji Villeneuve’a świat technologii charakteryzuje przede wszystkim pozorność przesłaniająca to, co rzeczywiste: wirtualne hologramy, świetlne neony przesłaniają widok na pustkowia, w których pyle i radioaktywnym skażeniu znajdują się ruiny symbolizujące dawną sztuczność: resztki Las Vegas. Co stanowi dla niego kontrpunkt? Coś prawdziwego: śnieg padający z nieba na oficera K., który być może dowiódł swego człowieczeństwa. I na koniec to imię K., jak Józef K. z powieści Kafki. Może nie chodzi tu o pokazanie, że nasz świat okazuje się równie absurdalny i niesprawiedliwy, jak w Procesie, tylko podkreślenie, że K. oznacza każdego z nas. Mamy wybór i możemy zawałczyć o swoje człowieczeństwo.



Kadr z filmu *Bladerunner 2049* (reż. Denis Villeneuve)



źródło: pixabay.com

Chrześcijaństwo - oświeceniem



Piotr Władysław Sudół

W erze coraz szybszego postępu i rozwoju nauki spotykamy się często z dużym naciskiem na racjonalność, na prymat rozumu. Praktycznie od czasów oświecenia głównym kryterium oceny czegokolwiek jest właśnie racjonalność. Oświecenie przez pewne grupy społeczne jest uważane za coś, co wniosło racjonalność ciemnym masom. Często też gloryfikuje się oświecenie jako to wydarzenie, które dokonało oporu wobec „ciemniącego” i „zacofanego” Kościoła. Wbrew temu, co czasem słyszymy, racjonalne myślenie nie zaczęło się w oświeceniu. A samo oświecenie nie jest najważniejszym wydarzeniem w historii ludzkości i ludzkiej myśli. Czy w ogóle dość sporą rewolucję w ludzkich dziejach można przyjąć jako coś wręcz zbawczego i niewątpliwie korzystnego dla ludzi? Benedykt XVI w swoim cyklu wykładów papieskich o prawdzie i racjonalności postawił pewną stanowczą i uzasadnioną tezę o prawdziwym oświeceniu.

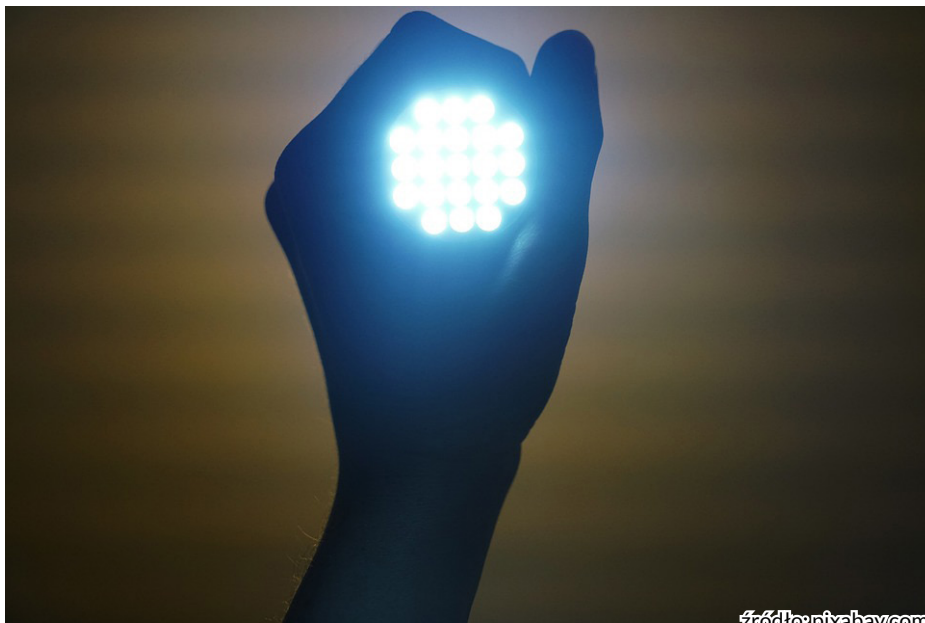
Na początku było Słowo...

Tymi słowami zaczyna się Ewangelia wg św. Jana. Słowo – λόγος. Greckie λόγος kojarzy nam się w większości z racjonalnością, porządkiem, mądrością

i inteligencją. Dalej Apostoł pisze, że „wszystko przez Nie stało się”(J 1,3). To z kolei przywołuje nam na myśl Genesis i powtarzające się tam wyrażenie „A potem Bóg rzekł” i „I stało się tak”(Rdz 1, 1-31). Słowo. To Chrystus

jest Słowem, które wyszło z ust Bożych. Święty Tomasz z Akwinu w swoim krótkim dziele *De rationibus fidei*, w rozdziale poświęconym właśnie Słowu Bożemu pisze, że ludzkie słowa nie dorównują Boskiemu. My

pojmujemy niedoskonale, Bóg zaś doskonale. Słowo Boga jest absolutnie doskonałe, ma taką samą istotę jak On, jest współ-istotne (gr. ὁμοούσιος) (por. Jak uzasadniać wiarę, św. Tomasz z Akwinu, rozdział 3). Bóg jest Logosem, jest racjonalny. Przez Słowo stało się wszystko, to stwórcza zasada Wszechświata. Pisał o tym również św. Augustyn w XII i XIII księdze swoich Wyznań. Całe Stworzenie jest dobre i piękne, ponieważ zostało stworzone przez Słowo. Boży zamysł jest zawsze uporządkowany i racjonalny. To właśnie Manuel II Paleolog w dyspucie z perskim uczonym jasno twierdził, że "Bóg nie ma upodobania w krwi" oraz, że "działanie inne niż zgodne z rozumem, jest sprzeczne z naturą Boga" (por. Wykłady papieskie, WAM 2017, str. 35). Widać zatem, że nawet w znacznie mniej racjonalistycznej tradycji bizantyjskiej nie ma miejsca na brak logiki w sprawach Bożych (por. Tamże). Bóg nie jest żadny krwi. Bóg jest zawsze rozumnie i subtelnie działającym Panem Wszechświata, który został stworzony przez swoje Słowo. Słowem Bożym jest właśnie Jezus Chrystus, o czym wspomina Katechizm Kościoła Katolickiego: KKK 483 Wcielenie stanowi więc tajemnicę przedziwnego zjednoczenia natury Boskiej



źródło: pixabay.com

i natury ludzkiej w jedynej Osobie Słowa.

Bóg w całym swoim majestacie przybrał ludzkie ciało. Uniżył się dla nas. Wcielenie Słowa Bożego jest jedną z największych tajemnic chrześcijaństwa, tak często niezrozumiałą, a jednocześnie tak kluczową dla zbawienia ludzkości.

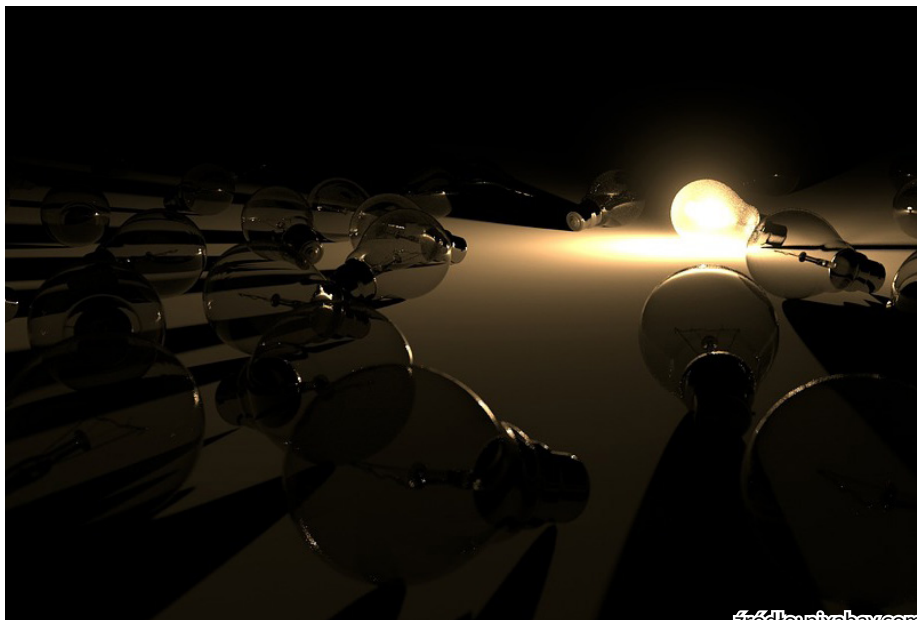
Racjonalność Bożego działania

Przywołaliśmy już znany z tzw. wykładu ratyzbońskiego pogląd Manuela II na racjonalność Boga. Manuel wyraźnie sprzeciwiał się islamskiej filozofii, która w skrajnych przypadkach (np. Ibn Hazm) głosiła, że Bóg mógłby tworzyć i czynić nawet to, co jest kompletnie niezgodne z całym jego wcześniejszym działaniem (por. Wykłady papieskie, WAM 2017, str. 33.36 [Wykład ratyzboński]). Znakomitym tego przykładem jest

to, że Bóg nie odebrał ludziom wolnej woli po grzechu pierworodnym. Był konsekwentny, bo wcześniej obdarzył ludzi wolnością. Nieprzypadkowo mówimy o "Mądrości Przedwiecznej". Jednocześnie w Psalmie 14, wersecie pierwszym czytamy "Mówi głupi w sercu: Boga nie ma" (Ps 14,1). Mądrość Boga jest bardzo znacząca w całej Biblii. O jej wartości świadczą choćby dzieje Salomona. Bóg nagrodził Salomona właśnie za wybór mądrości, która sama w sobie okazuje się być nagrodą. W działaniu Boga nie ma miejsca na sprzeczności – Chrystus nie zniósł Starego Przymierza, lecz je dopełnił.

Rewolucja

Pojawienie się chrześcijaństwa zapoczątkowało gigantyczną rewolucję w dziejach ludzkości. Nasuwa mi się na myśl popularna legenda, jako-



źródło: pixabay.com

by przy narodzinach Chrystusa wszelka magia straciła swą moc. Mimo iż przekaz brzmi pięknie, nie przywiązałbym do niego większej wagi. Dużo bardziej znaczący jest tzw. pokłon Trzech Króli. Trzej Królowie (zwani czasem również magami) pokłonili się małemu dzieciątku. Może to symbolicznie wyrażać oddanie czci prawdziwej Mądrości przez ludzkie nauki (por. Tajemnica wcielenia, Benedykt XVI, kazanie z 6 stycznia 2012 roku). Dodatkowo to było pierwsze objawienie się Tego, który jest „Światłem na oświecenie pogan” (Łk 2, 32) właśnie poganom. Chrystus, którego tak pragnęli Żydzi jako Mesjasza, objawia się królom, którzy nie są w żaden sposób związani z Izraelem. Dokonało się coś kompletnie nowego, czego nie było w religiach politeistycznych – Bóg staje się człowiekiem. Nie jest zantropomorfizowanym tworem mitologii egipskiej.

Nie jest powstałym z jakichś sił natury bogiem greckim. Bóg posiada dwie natury – boską i ludzką. Nie jest mieszanką dwóch natur. Takie zjednoczenie dwóch natur nosi powszechnie nazwę unii hipostatycznej. Idąc dalej, nauki Jezusa również wniosły coś nowego dla świata: To On głębiej przypominał najważniejsze z przykazań, przykazanie miłości. Mogło to być nie w smak tym, którzy usilnie trwali przy słynnej zasadzie „Oko za oko, ząb za ząb”. Radykalne przykazanie miłości jest czymś absolutnie nowym dla wszystkich pogan, którzy nie posiadali dobrze ugruntowanej nauki moralnej. Przekaz Chrystusa jest bardzo trudny i radykalny, ale niezwykle sensowny, a zarazem nowy. Kolejną rewolucją jest ofiara Boga. Mówi: „Chcę raczej miłosierdzia niż ofiary” (Mt 12, 7). Jest to stanięcie w kompletnej opozycji do myślenia pogan, którzy składali bogom ofiary

z różnych rzeczy. Jezus prezentuje Prawdę – Bóg nie handluje z człowiekiem. Pragnie żywej relacji. Przez Jezusa dokonuje się znaczący przełom w ludzkiej duchowości. Nie chce handlu na zasadzie „Ja Tobie Bożę trochę tego, a Ty mi daj to”. Chce prawdziwej miłości.

Chrześcijaństwo a kultura grecka

Benedykt XVI w wykładzie ratyzbońskim odważnie twierdzi, że nie można oddzielić kultury greckiej od chrześcijaństwa w ramach oczyszczenia wiary chrześcijańskiej z naleciałości i doprowadzenia jej do „czystej” postaci. (Wykłady papieskie, WAM 2017, str. 40). Takie próby z założenia będą bezsensowne. Już przez Septuagintę dokonano swego rodzaju ukazanie części Objawienia Bożego innym kulturom poza semicką. Do tychczas Stary Testament znali w gruncie rzeczy jedynie Żydzi, ze względu na języki w jakich został napisany. Przez Septuagintę dokonuje się już pewne „oświecenie” - święte pisma stają się dostępne w grece, języku elit. Była to skromna część Objawienia dana ludziom, w przygotowaniu na przyjście prawdziwego Światła. Idąc dalej wiemy, że Ewangelia – radosna nowina – jak i cały Nowy Testament zostały napisane właśnie w języku



źródło: pixabay.com

greckim (koine). Widać zatem, że już u swoich korzeni chrześcijaństwo było ściśle związane z kulturą i językiem greckim. To właśnie język grecki był używany pierwotnie w liturgii i do dziś pozostały jego pewne elementy, jak np. Κύριε ἐλέησον - Kyrie eleison. Na samym języku jednak się nie skończyło.

Oświecenie

Chrystus jest "Światłem na oświecenie pogan" (Łk 2, 32). Po Jego wniebowstąpieniu tę chwalebną prawdę głosili Apostołowie. Wyjątkowa i bardzo znacząca w chrześcijaństwie jest jeszcze jedna rzecz, która miała ogromny wpływ na myśl chrześcijańską, jak i w ogóle europejską. Carlowi von Weizsäckerowi przypisuje się słynne zdanie, w którym twierdzi, że dlatego Grecy i ich filozofia są tak ważni, ponieważ ta filozofia

jest tak prosta, że żeby ją zrozumieć, nie trzeba odwoływać się do Greków (Carl von Weizsäcker, "Filozofia grecka i fizyka współczesna"). Wystarczy ogólnie spojrzeć na rozwój myśli chrześcijańskiej (zwłaszcza na św. Augustyna i św. Tomasza), by zobaczyć, jak myśl grecka jest powiązana z chrześcijaństwem. Święty Justyn Apologeta dostrzegł obecność Słowa Bożego u starożytnych filozofów greckich. Koncepcja stworzona przez Justyna nosi nazwę λογος σπερματικός - logos spermaticos, ziarno zasiane. Święty Augustyn czerpał w pewnej mierze z Platona i Plotyna - to lektury dzieł platońskich i neoplatońskich skłoniły go do lektury Biblii. To właśnie św. Augustyn opisuje doskonale Boga jako niezmierzonego, nieograniczonego przestrzenią. To Augustyn wprowadził do teologii głębsze rozumienie Słowa Bożego jako

tego, przez co zostało uczynione stworzenie. Święty Tomasz z Akwinu w swoich dziełach często powołuje się na "Filozofa" - Arystotelesa. Akwinacie udało się "ochrzcić" filozofię arystotelejską. "Pierwszy Poruszyciel" czy też "pierwsza przyczyna" w myśli chrześcijańskiej stał się utożsamiany z Bogiem, Stwórcą wszechrzeczy, "Tym, Który Jest". Grecka racjonalność, przepętniona logosem, zjednoczyła się z głęboką mistyką. Kultura grecka z semicką kulturą żydowską. Chrześcijaństwo stało się gigantycznym oświeceniem u schyłku starożytności i początku średniowiecza. To mnisi Benedykta z Nursji kopiowali księgi, zachowywali dzieła starożytnych (m.in. Boecjusza, Arystotelesa itp.) i tłumaczyli je. To oni edukowali, oni swoją mozolną pracą zachowywali dziedzictwo. Z połączenia chrześcijańskiej moralności, greckiej myśli i rzymskiego prawa powstało coś, co dzisiaj nazywamy cywilizacją europejską. To właśnie chrześcijaństwo było największym, oświeceniem w dziejach ludzkości. Narodziny chrześcijaństwa zmieniły na zawsze dzieje ludzi. Żywa wiara i miłosierdzie złączyły się z rozumem i mądrością filozofii. Pojawił się radykalny przekaz miłości bliźniego. To wszystko daje jasno do myślenia - chrześcijaństwo jest oświeceniem.



DUCHOWY PREZENT NA DZIEŃ DZIECKA!

PODARUJ DZIECKU COŚ WYJĄTKOWEGO



www.bractworozancowe.pl